

RES HUMANA

Humanizm
Racjonalizm
Kultura świecka

2/129

2014 r.

DWUMIESIĘCZNIK • ISSN 0867-847X Indeks 33426X • Numer 2 (129) 2014 Rok wyd. XXII • Cena 7,00 zł (w tym 5% VAT)



ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI

**Okrągły Stół z perspektywy
osobistego doświadczenia**

czytaj s. 7

KOMENTARZE

- Jerzego J. WIATRA analiza wydarzeń na Ukrainie
- o wizycie polskich biskupów u papieża Franciszka
- o tym kto się boi Jerzego Owiaka

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI O dziedzictwie Okrągłego Stołu

ŚWIADECTWA

Zygmunta BAUMANA i Stanisława OBIRKA o Bogu i człowieku
Ireny WOJNAR o alternatywach i zobowiązaniach człowieka wobec świata
Eugeniusza KABATCA o „małej Ojczyźnie”
Henryka Hawliczka

Daniel S. ZBYTEK o kondycji człowieka czasu globalizacji

Radosław S. CZARNECKI o Karcie sekularyzmu znad Sekwany

Ponadto w numerze:

Felietony Marii SZYSZKOWSKIEJ,
Eugeniusza KABATCA i Wacława SĄDKOWSKIEGO
oraz recenzje i kronika

Spis treści

FAKTY • WYDARZENIA • OPINIE

Zdzisław SŁOWIK
Dziedzictwo Okrągłego Stołu/1
Jerzy J. WIATR
Rewolucja ukraińska: szanse i zagrożenia/2
Andrzej BIERNACKI
Polscy biskupi u papieża Franciszka/4
Wacława MIELEWCZYK
Kto się boi Jerzego Owsiaaka?/5 i 22

DZIEDZICTWO OKRĄGŁEGO STOŁU

Aleksander KWAŚNIEWSKI
Z perspektywy osobistego doświadczenia/7

CZAS WSPÓŁCZESNY I JEGO DYLEMATY

Daniel S. ZBYTEK
Kondycja człowieka czasu globalizacji/11
Małgorzata B. JAKUBIAK
O ogóle i szczególe/15
Janina ŁAGODA
Katyń Smoleńskiem spięty/20

ŚWIADECTWA

Jan SZMYD
Odczytywanie Boga i nie tylko/23
Wacława MIELEWCZYK
Między akceptacją a sprzeciwem/27
Barbara KRUPA-WOJCIECHOWSKA
Małe Ojczyzny/30
Eugeniusz KABATC
Partyjny harcmistrz/31

W ŚWIECIE I O ŚWIECIE

Uri J. HUPPERT
W sprawie państw wyznaniowych
(Listy jerozolimskie)/34
Radosław S. CZARNECKI
Karta sekularyzmu znad Sekwany/36
Wiesław ŁUKA
Nie ma jednej drogi do szczęścia
(Notatki z Indochin)/38

FORUM FILOZOFICZNO-LITERACKIE

Maria SZYSZKOWSKA
Niszczenie Polski/42
Eugeniusz KABATC
Na manowcach walki/44
Wacław SADKOWSKI
Książka niespełnionych nadziei/45

WŚRÓD KSIĄŻEK

Radosław S. CZARNECKI
Rozmowy o Bogu i religii/47
Andrzej BIERNACKI
Wersety archiwalne i współczesne/48

W CZASOPISMACH

Wybór i opracowanie
Ksawery S. PIWOCKI/50

KRONIKA

Przed XII Zjazdem Krajowym TKŚ/52
Nagrody Kryształowego Świecznika/52
Jacek SYSKA
O Marku Chaczyku/III i IV s. okł.

REDAKCJA: Mariusz AGNOSIEWICZ, Zdzisław CACKOWSKI, Marek JAWORSKI, Władysław LORANC, Jerzy ŁADYKA, Wacława MIELEWCZYK - sekretarz redakcji, Lech M. NIJAKOWSKI, Wacław SADKOWSKI - z-ca redaktora naczelnego, Zdzisław SŁOWIK - redaktor naczelny, Dionizy TANALSKI, Zbigniew WOJTKOWIAK, Daniel S. ZBYTEK.

ADRES REDAKCJI: 00-553 Warszawa, ul. Koszykowa 24, tel. 625-44-69; tel. 605-101-072.

E-mail: reshumana@tlen.pl

WYDAWCA: Rada Krajowa Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego.
www.kulturaswiecka.pl

Druk: Drukarnia ACAD w Józefowie

FAKTY WYDARZENIA OPINIE

Dziedzictwo Okrągłego Stołu

Minęło już ćwierć wieku od tego dnia, 6 lutego 1989 r., dnia rozpoczęcia obrad przy Okrągłym Stole, obrad, które dla polskiej rzeczywistości czterdziestu powojennych lat oznaczały zwrot, głęboko przeobrażający fundamenty ustrojowe i codzienne życie Polski i Polaków. Tego dnia przedstawiciele najwyższych władz ówczesnego państwa podjęli, wcześniej uzgodnione, rozmowy z reprezentatywną częścią opozycji o tym, jaką drogą ma iść Polska, jej najważniejsze sprawy wewnętrzne – ustrój polityczny, gospodarka, obrona czy zdrowie i jej sprawy zagraniczne – wybór pomiędzy dotychczasową orientacją na Wschód a orientacją zwróconą na Zachód.

Droga do Okrągłego Stołu, czas koniecznego namysłu w warunkach presji społecznej, był więc dość długi, z pewnością za długi, ale też skala wyzwań narzucała rozważę: co jest dla Polski najważniejsze i najpilniejsze, w jakiej ułożone hierarchii, i w jakim stopniu realne w warunkach ograniczonych możliwości? Ale dominowała ponad tym wszystkim świadomość, że oto nadchodzi nieuchronny moment, który dla przedstawicieli władzy może oznaczać świadomość jej utraty, świadomość upadku dotychczasowego systemu, a po stronie opozycji – świadomość przyjęcia odpowiedzialności za państwo, w warunkach mglistego pojęcia o mechanizmach jego funkcjonowania. Nie można się dziwić, że przy samym Stole, w istniejących warunkach, toczyły się debaty nie wolne od wielu kontrowersji, ale równolegle, głównie w jego różnorodnych środowiskach czy frakcjach, toczyły się ostre spory o samą celowość czy sens debaty. Ich pokłosiem stały się ostre podziały, które później wystąpiły w obozie zwycięskiej opozycji i które wciąż trwają w spetryfikowanej zapiekłości lub zmistyfikowanych insynuacjach.

A jednak spodeń wielu różnic, stanów napięć czy nieufności krok po kroku wyłaniały się kontury przyszłości, nowy polityczny, społeczny czy ekonomiczny ład zapisywany w ustalonych sukcesywnie dokumentach obrad.

Ich konstrukcja odzwierciedlała stan myślenia wszystkich uczestników Okrągłego Stołu o Polsce. Jak ją oceniać z perspektywy dwudziestu pięciu lat, co dziś znaczy, jakie są jej przesłania: czy jest doświadczeniem wyłącznie polskim czy też ma walor uniwersalny, czym jest w swej najgłębszej istocie?

To niełatwe pytania, na które warto jednak szukać odpowiedzi, tak jak poszukiwali je uczestnicy konferencji zorganizowanej w Sejmie RP w rocznicę rozpoczęcia obrad Okrągłego Stołu. Na pewno to doświadczenie od samego początku i do dni współczesnych było i pozostaje wydarzeniem historycznym, ale jak każde tego rodzaju doświadczenie nie mogło być wolne od wad, źródłem których było oczekiwanie tego, czemu surowe realia życia nie pozwoliły stać się rzeczywistością. Stąd można powiedzieć, że dzieło Okrągłego Stołu wolno uznać za obac szlachetnych marzeń wszystkich jego twórców. Rzeczywistość, która się bowiem później wyłoniła, i która wciąż trwa, odmiennie niż w marzeniach, ukształtowała obraz tego, co konstytuuje współczesne polskie życie: wiemy dobrze jak wiele w nim wciąż – przy wszystkich bezspornych sukcesach – niesprawiedliwości, biedy, ludzkiej goryczy.

Kiedy jednak spojrzeć raz jeszcze na dzieło Okrągłego Stołu, to nie sposób uciec od szczególnej lekcji, którą udzielił Stół: to lekcja dialogu i gotowości do porozumienia ponad różnicami i poszukiania tego co może i powinno łączyć a nie dzielić. Takim doświadczeniem dialogu był Okrągły Stół i to stanowi jego najważniejsze, jak sądzę przesłanie o walorach uniwersalnych, sprawdzone w konkretnych realiach, przez konkretnych ludzi i czas.

Patrząc z perspektywy tego doświadczenia na współczesną polską scenę polityczną, coraz bardziej przenikniętą duchem i praktyką wzajemnej niechęci i walki, widać jasno, że dziedzictwo Okrągłego Stołu, jest za sprawą różnych fobii, urazów czy politycznych kalkulacji po prostu niszczone. To zły znak dla tych wszystkich, którzy usiedli przy Okrągłym Stole i którzy zbudowali przy nim III RP, ale zarazem znak wskazujący inną drogę, drogę stanowczego sprzeciwu wobec siewców zła opętanych żądzą władzy pozbawionej wszelkich zasad, jakże dalekiej od ducha Okrągłego Stołu.

To gorzka ironia historii, z którą zmuszeni jesteśmy żyć. Trzeba odmienić jej bieg.

Zdzisław SŁOWIK

Z inicjatywy wicemarszałka Sejmu RP Jerzego WENDERLICHA, 6 lutego 2014 r., w 25. rocznicę rozpoczęcia obrad Okrągłego Stołu, odbyła się w Sali Kolumnowej Sejmu konferencja, w czasie której słowo wprowadzające do debaty wygłosił uczestnik panelu, prezydent RP w latach 1995–2005 Aleksander KWAŚNIEWSKI, a następnie głos zabierali uczestnicy panelu i Okrągłego Stołu: Stanisław CIOSEK, Adam MICHNIK, Leszek MILLER i Andrzej WIELOWIEYSKI. Wystąpienie Aleksandra Kwaśniewskiego drukujemy na kolejnych stronach naszego czasopisma.

Red.

Rewolucja ukraińska: szanse i zagrożenia

Ukraina znalazła się na czołówkach prasy światowej. Upadek prezydenta Wiktora Janukowycza stał się punktem zwrotnym, zamykającym jeden i otwierającym następny etap zmian ustrojowych. To, co przez kilka miesięcy jawiło się jako masowy, w zasadzie pokojowy, protest społeczny, przerodziło się w gwałtowną, zwycięską rewolucję. Taki rozwój wydarzeń, zaskakujący komentatorów zagranicznych, był konsekwencją uporczywych i zdumiewającej indolencji prezydenta, który najpierw miotał się między używaniem brutalnej siły a chwiejnymi gestami i ustępstwami, by wreszcie panicznie zbiec niemal natychmiast po zawarciu porozumienia z przywódcami opozycji. Przyspieszyło to jego upadek i przekreśliło możliwość stopniowej, negocjowanej zmiany, która – jak pokazało wcześniejsze doświadczenie przemian demokratycznych (między innymi w Polsce) – tworzy bezpieczniejsze warunki demokratycznej stabilizacji.

Przyczyny rewolucji ukraińskiej są bardziej złożone niż rozczarowanie fiaskiem rokowań z Unią Europejską w sprawie traktatu stowarzyszeniowego, co było bezpośrednim bodźcem wyprowadzającym ludzi na kijowski Majdan. Fiasko tych rokowań nie było zresztą wyłącznie winą Janukowycza, gdyż Unia od początku oferowała Ukrainie zbyt mało, a domagała się od niej zbyt wiele – zwłaszcza, jeśli bierze się pod uwagę to, że za zbliżenie z Unią Ukraina musiałaby zapłacić pogorszeniem stosunków gospodarczych z Rosją. Poważni eksperci zachodni, jak Nicolai Petrou (USA) czy Mark Leonard (Wielka Brytania) uważają, że Unia Europejska źle podeszła do sprawy Ukrainy i pośrednio przyczyniła się do powstania sytuacji zapalnej. Była to jednak tylko ostatnia kropla przepełniająca czarę.

Rewolucja była konsekwencją nagromadzonego rozczarowania tym, jak potoczyły się losy Ukrainy po 1991 roku, gdy stała się ona niepodległym państwem. Jej gospo-

darka leży w ruinie. Witold Gadomski („Gazeta Wyborcza”, 24 lutego br.) zwraca uwagę na kontrast między Ukrainą i Polską. W 1992 roku byliśmy na podobnym poziomie rozwoju, a obecnie dochód na jednego mieszkańca Polski jest niemal trzykrotnie wyższy niż na Ukrainie, a przeciętna długość życia w Polsce wzrosła o siedem lat, gdy na Ukrainie pozostała na poprzednim poziomie. Stagnacji gospodarczej towarzyszy znacznie większy niż w Polsce (czy innych posocjalistycznych państwach Europy środkowej) rozkwit wielkich fortun oligarchów, a ci ostatni do fortun tych doszli niemal wyłącznie dzięki sprawowaniu władzy lub bliskim związkom z ludźmi władzy. Korupcja i bogacenie się elity politycznej nie zaczęły się za prezydentury Janukowycza, ale były przez niego i jego politycznych popleczników kontynuowane na wielką skalę.

Tym społecznym przyczynom kryzysu towarzyszy rozczarowanie Ukraińców do całej do-tychczasowej elity politycznej. Wiktor Juszczenko i Julia Tymoszenko – wielcy wygrani „pomarańczowej rewolucji” – w pokazowy sposób zmarnowali jej owoce otwierając drogę do władzy (zdobytej, o czym warto pamiętać, w demokratycznych wyborach) przez ich wroga, a wczorajszego kolegę Wiktora Janukowycza. Trudno się więc dziwić, że dziś radykałowie domagają się przejęcia władzy przez ludzi „nowych”.

Wszystko to stwarza zwycięzcom bardzo trudną sytuację. O ile z kryzysem gospodarczym mogą sobie dać radę, jeśli otrzymają znaczną pomoc Unii Europejskiej i Stanów Zjednoczonych, o tyle trzy inne problemy sprawiać im będą znacznie większe trudności.

Pierwszy z nich to wyłonienie nowego kierownictwa politycznego tak, by nie wywołało to nowego kryzysu. Zwycięzcy już się zaczęli dzielić, a zwolennicy Julii Tymoszenko bardzo sprawnie monopolizują władzę, co musi rodzić konflikty. Ukraina potrzebuje „rządu jedności narodowej”, ale to wymaga nie tylko pogodzenia się różnych odłamów dawnej opozycji, lecz także zawarcia jakiegoś porozumienia z Partią Regionów, która miała i ma nadal znaczne poparcie, zwłaszcza na wschodzie i południu. Tego jednak nie da się osiągnąć w klimacie odwetu, w warunkach niszczenia lokali tej partii i znęcania się nad pokonanymi.

Drugi problem jest uniezależnienie się nowego kierownictwa państwa od dyktatu radykałów z kijowskiego Majdanu. W każdej rewolucji skrzydło radykalne reprezentuje mniejszość, ale swym radykalizmem i gotowością do bezkompromisowego działania jest w stanie przeforsować swą wolę. Francuscy jakobini w 1793 i rosyjscy bolszewicy w 1917 nie mieli za sobą większości, ale byli na tyle radykalni i zdeterminowani, by skutecznie przeforsować swoje programy. Rezultatem były dyktatury: krótkotrwała we Francji, ponad siedemdziesięcioletnia w Rosji. Majdan pokazał, że potrafi obalić niepopularną władzę, ale nie jestem przekonany, że jest w stanie stworzyć ład demokratyczny. Ten bowiem rodzi się z mądrych kompromisów, a nie z działań rozgorączkowanego tłumu.

Wyznaczenie wyborów prezydenckich już na koniec maja ma świadczyć o demokratycznych intencjach przywódców rewolucji, ale rodzi pytanie, czy w takich warunkach, jakie obecnie istnieją, możliwe będą wybory demokratyczne. Jak zostanie zapewniona swoboda kandydowania i prowadzenia kampanii dla kandydatów Partii Regionów i Partii Komunistycznej, na których jeszcze niedawno głosowała większość ukraińskich wyborców. Bez tego zaś wybory staną się mniej lub bardziej farsą.

Trzeci problem jest najtrudniejszy. Nazywa się jedność państwa. Wbrew retoryce polskich polityków i komentatorów sprawa ta nie da się sprowadzić do tego, jaka będzie polityka Rosji. Wschodnia i południowa Ukraina jest inna niż środkowa, a zwłaszcza zachodnia, gdzie dawna opozycja ma najsilniejsze oparcie. Są to różnice zakorzenione w historii. Wschodnia Ukraina – sienkiewiczowskie Zadnieprze – odpadło od Polski w XVII wieku: po powstaniu Chmielnickiego i wojnie polsko-rosyjskiej. Południe (Krym zwłaszcza) nigdy nie było częścią Rzeczypospolitej. Te dwa regiony stanowią łącznie połowę państwa. Język rosyjski jest tam w powszechnie używany a poczucie szczególnej, osadzonej w historii, więzi z Rosją jest bardzo silne.

Nie musi to prowadzić do secesji, ale wymaga, by wschodnia i południowa Ukraina traktowane były jako równorzędne części składowe państwa, a ich interesy i przekonania były w pełni szanowane. **Czy zwycięzcy z kijowskiego Majdanu będą zdolni do zajęcia takiej postawy? Czy podzielią się władzą z tymi, którzy z Majdanem nie sympatyzowali, ale którzy mają takie samo prawo czuć się obywatelami demokratycznej Ukrainy? To wymaga odwagi i rozumu ze strony zwycięzców, a pogodzenia się z nowym układem sił ze strony tych, którzy jeszcze niedawno stanowili polityczną bazę obalonej ostatnio władzy.**

Powinniśmy życzyć naszym ukraińskim braciom i siostram, by pomyślnie uporali się z tymi problemami. Powinniśmy im w tym pomagać, a to oznacza mówienie im prawdy a nie schlebianie ich emocjom. **Nade wszystko zaś powinniśmy jak ognia strzec się polityków, którzy z ukraińskiej rewolucji starają się uczynić odskocznię do nowego paroksyzmu rusofobii.** Ci politycy i publicyści polscy, którzy tak czynią (a czynią tak zwłaszcza, ale nie wyłącznie, politycy Prawa i Sprawiedliwości oraz Sprawiedliwej Polski) szkodzą nie Rosji, a Polsce. Ma rację Zbigniew Brzeziński, gdy pisze o potrzebie pojednania między Polską i Rosją i dodaje, że „francusko-niemieckie wsparcie dla tego pojednania zarówno zwiększyłyby polskie poczucie bezpieczeństwa, jak i przekonało Rosję, że ów proces ma szerszy, ogólnoeuropejski wymiar” (*Strategiczna wizja*, Kraków 2013, s. 251). W przełomowym momencie ukraińskiego kryzysu postulowany przez Brzezińskiego trójkąt niemiecko-francusko-polski zmaterializował się w postaci wspólnej misji ministrów spraw zagranicznych, która wywarła wielki i pozytywny wpływ na bieg wydarzeń.

Teraz warto pracować nad tym, by mądrymi inicjatywami tego trójkąta otworzyć nowe perspektywy dla zbliżenia między Unią Europejską i Federacją Rosyjską. To – a nie historyczne demonstracje rusofobii – oddałoby Ukrainie największą przysługę¹.

¹ Pisane 25 lutego 2014.

Jerzy J. WIATR

Polscy biskupi u papieża Franciszka

Na przełomie stycznia i lutego 2014 r. blisko 90 polskich biskupów stawiło się „ad limina apostolorum” (u progów apostołskich), aby – zgodnie z wiekową tradycją – złożyć papieżowi, ich najwyższemu zwierzchnikowi, oraz dykasteriom watykańskim sprawozdania o działalności swoich diecezji (tak mają obowiązek czynić co 5 lat).

Od ks. red. seniora Adama Bonieckiego dowiedzieliśmy się z „Tygodnika Powszechnego” (nr 7, 2014), że pół roku wcześniej biskup każdej diecezji (jest ich obecnie w Polsce 44) przekazał nuncjuszowi szczegółowe sprawozdanie: statystyki i omówienie „23 aspektów życia diecezji”, na podstawie których watykańska Kongregacja ds. Biskupów sporządziła całościowy syntetyczny raport, aby w końcu, po tych wszystkich peregrynacjach, biskupi mogli spotkać się z papieżem i wysłuchać jego orędzia. Stało się o 7 lutego 2014 r.

Sądząc z dostępnych a zarazem fragmentarycznych informacji, o wizycie, można przy wszystkich zastrzeżeniach mówić o jej trzech aspektach:

po pierwsze, o całej liście pretensji, narzekań i żalów biskupów, których „napelnia niepokojem – jak powiedział prymas abp. Józef Kowalczyk na spotkaniu inauguracyjnym – przede wszystkim łatwe uleganie duchowi czasu... który często narzuca wzorce życia sprzeczne z zamyśłem Bożym i lansuje model życia bez Boga. Szukanie życia łatwego, przyjemnego i bez zasad moralnych ... A chociaż (chodzi o ludzi młodych – przyp. A.B.) wprost nie odrzucają Boga, to jednak brakuje przełożenia wiary na codzienność, a w ich życiu daje się zauważyć niebezpiecz-

ny dualizm i rozłam między wyznawaną wiarą a praktyką życia”. Co więcej: „W mentalność wiernych wkrada się także zobojętnienie religijne, relatywizm moralny, korupcja, przestępczość, selektywne traktowanie prawd wiary, zanika poczucie grzechu i prawnego sumienia. Szczególnie bolesne i niepokojące są przemiany dotykające życia małżeńskiego i rodzinnego. Wciąż rośnie liczba małżeństw żyjących w sytuacji nieprawidłowej”. I dalej: „...za wiele czasu poświęca się aktywności doczesnej, kosztem życia rodzinnego, duchowego, religijnego. Groźnym jest również zjawisko emigracji zarobkowej, co powoduje rozluźnienie, a nawet utratę więzi małżeńskich i rodzinnych...”. Kropkę nad <i> przytoczonych słów, raczej spokojnie obrazujących stan polskich spraw, które niekoniecznie mogą niepokoić tylko polski Kościół, postawił w swoim stylu abp. Józef Michalik zapowiadając jeszcze przed wyjazdem, że poskarży się Franciszkowi na wrogów Kościoła w Polsce, którzy walczą z biskupami z pomocą papieża;

po drugie, o stanowisku papieża i Kurii rzymskiej wobec wszystkich żalów i pretensji polskich hierarchów. Papież w swoim przesłaniu wskazał Kościołowi w Polsce priorytety: jedność Episkopatu; szukanie sposobów zmierzenia się z nowymi wyzwaniem; pomoc osobom rozwiedzionym; większy nacisk na kształtowanie wśród młodych wiary „jako relacji”; ulepszenie pracy seminariów duchownych; a do księży: „nawrócenie misyjne” czyli praca „na peryferiach” oraz duch ubóstwa i troska o ubogich. Można za jednym z komentatorów powiedzieć o przesłaniu papieża: „Weźcie się do roboty, ale najpierw zastanówcie się jak. Bo dotychczas nie dokonaliście rewolucji miłosierdzia”. Co więcej, papież zapewne zaskoczył polskich hierarchów swoim zachowaniem: bardzo bezpośrednim, „delikatnie, małomównie, niewiele nakazując, wiele dając do zrozumienia. Przemawiając głównie tą ogromną przepaścią pomiędzy ich narzekaniami a własnym poczuciem istoty rozumienia i działania” (por. J. Mikołajewski, „GW” z 8-9 lutego 2014);

po trzecie wreszcie, i już krótko, to reakcja polskich hierarchów po wizycie. Optymizmu nie ukrywał sekretarz generalny Episkopatu bp Wojciech Polak, gdy mówił o radości spotkania i nowym doświadczeniu, o uznaniu dla wielu dzieł polskiego Kościoła itd.

I wolno tę radość podzielać jeśli tylko stanie się ona zarazem czasem poważnego namysłu, czasem „rozumienia” słów i zachowania papieża Franciszka, zapewne i jego opinii podczas wspólnych posiłków (zapraszał wszystkich biskupów) nie we własnej jadalni, bo takiej nie ma. I rozumienia przez polski Episkopat przede wszystkim tego, że źródła wielu rzeczy i spraw dziś niepokojących wszystkich ludzi wspólnej troski, i które niejednokrotnie trafnie identyfikuje też Kościół, to są źródła, które Kościół nie dostrzega jednak jako i swoich słabości, wciąż szukając winnych wokół siebie, bo wciąż bowiem dominuje perspektywa wrogości i zagrożenia przez innych. – krytykach czy „odstępach”. Tylko nie w sobie samym.

Jadąc więc do Watykanu, jadąc „ad limina”, polscy biskupi zdali sobie, być może, sprawę z tego, że są w końcu reprezentantami Kościoła lokalnego, częścią Kościoła powszechnego, który dziś za sprawą papieża Franciszka szuka nowego, właściwego dla siebie miejsca w świecie przeogromnych przemian, szuka po latach drogi powrotu do ewangelicznej prostoty. Dodajmy: nie wykluczającej nikogo z drogi dialogu i porozumienia w afirmatywnym i krytycznym jednocześnie stosunku do tego coraz bardziej wspólnego dziś świata.

Andrzej BIERNACKI

Kto się boi Jerzego Owsiaaka?

Narodziła się ta szlachetna inicjatywa, dzieło Jerzego Owsiaaka i jego Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy, na progu III RP, powstała w chwili, która wyzwoliła wielką narodową energię zwróconą ku temu, aby Polska była lepsza. I wyrosła z rozległej skali potrzeb społecznych, także w sferze ludziom najbliższej, z oczekiwania lepszej opieki zdrowotnej.

Jerzy Owskiak podjął to wyzwanie, zaangażował wszystkie swoje umiejętności oraz talent, i z determinacją wyruszył z Orkiestrą tak, aby grała w całej Polsce, aby każda wrzucona do puszek z serduszkami Fundacji złotówka rosła w tysiące i miliony złotych, aby przemieniała się w specjalistyczny sprzęt i setki innych rzeczowych dóbr służących ludzkemu zdrowiu, zwłaszcza zdrowiu najmłodszych. I aby ukazywała wszystkim ludziom dobrej woli i otwartych na dobro wspólne, że można skutecznie czynić wiele dla powiększenia tego dobra. Polskiej służbie zdrowia przybyło wiele z tego dobra.

Ale Orkiestra Owskiaka uczyniła coś niemniej ważnego: stała się ośrodkiem skupiającym wiele tysięcy wolontariuszy, spośród uczniów naszych szkół, naszych dzieci, którzy nie szcędzą trudu w dorocznej zbiórce pieniędzy; i stała się dla wielu Polaków piękną wspólnotą budowaną na szlachetnej idei. To wartość równie bezcenna.

I oto te wartości postawiono pod mur, bo wszystko można bliźniemu darować, ale nie sukcesu. Wokół Orkiestry tworzono od lat różne czarne legendy, ostatnio legendy przemieniły się w oszczerstwa, podłość i zło. Wylały się brudnym potokiem z łamów pism prawniczych, portali i blogów, także z mediów toruńskich. Nie zasługują na to, aby ich tutaj przytaczać. Ale warto zapytać: co i kto jest ich inspiratorem?

W obszernym wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” (nr z 18-19 stycznia 2014 r.) w odpowiedzi na pytanie dziennikarki: „Dlaczego Ciebie nie lubią?” Jerzy Owskiak odpowiedział: „Nie lubią, bo ktoś inny sugeruje, żeby mnie nie lubić”. „Kościół?” – dopytuje dziennikarka. „Kościół – odpowiada twórca Orkiestry – bardzo dał nam do wiwatu. To jedna z najbardziej przykrych rzeczy. Ale Kościół to normalni ludzie. Przestańmy myśleć, że Kościół zjeżdża z nieba i jest niebiański. To nie są anioły. Mamy wszystkie nagrody polskiego Kościoła. Medal św. Jerzego, Medal św. Brata Alberta, które nam zostały wręczone przez ludzi myślących, mądrych, ekumenicznych. Którzy rozumieją, że niekoniecznie ktoś niezwiązany z Kościołem ma być niedostrzegany w tym, co robi. Ale Kościół, ten pospolity Kościół, rozszerzył nieprawdopodobnie, złe wiadomości na temat Orkiestry”. „A może Kościół Ciebie nie lubi, bo uważa, że rywalizujesz z «Caritasem»” – pada kolejne pytanie. „Nigdy nie rywalizowaliśmy. Spotykamy się od czasu do czasu przy różnych okolicznościach i szefowie Caritasu mówią tak: «Panie Jerzy, takich mamy adwokatów, to są adwokaci złej sprawy»” – odpowiada Owskiak.

Dokończenie na s. 22

ZAPRASZAMY DO PRENUMERATY „RES HUMANA” W 2014 ROKU

Rok 2014, jak rok, który minął, pragniemy uczynić rokiem dalszego wzrostu liczby prenumeratorów RES HUMANA. Liczebny wzrost prenumeratorów ustabilizuje bowiem nakład czasopisma, zracjonalizuje jego kolportaż, co pozwoli istotnie zmniejszyć koszty wydawnicze a tym samym zapewni stabilność naszego dalszego istnienia.

Tym się kierując zwracamy się do wszystkich dotychczasowych prenumeratorów z serdeczną prośbą o kontynuowanie prenumeraty w 2014 r., a wszystkich naszych Czytelników o podjęcie prenumeraty, o powiększenie kręgu Przyjaciół „RES HUMANA”, kręgu tych, którym bliskie jest współuczestnictwo w poważnych rozmowach o człowieku i współczesnym świecie, podejmowanych przez wybitnych ludzi polskiej nauki i kultury w duchu humanistycznych wartości świeckich i dialogu.

Redakcja RES HUMANA

Prenumeratę czasopisma na cały rok, której koszt wynosi 40 zł, można najlepiej dokonać na stosownym blankiecie w formie przelewu bankowego w każdym urzędzie pocztowym na konto bankowe naszej redakcji **nr 46 1160 2202 0000 0000 5515 5146** w Banku Millennium (nasz adres: 00-553 WARSZAWA, ul. Koszykowa 24/1).

Prenumeratę RES HUMANA można też zamówić w firmie kolportażowej RUCH S.A. poprzez Internet: strona www.prenumerata.ruch.com.pl; tel. kom. 801-800-803.

ĆWIERĆ WIEKU PO OKRĄGŁYM STOLE

Aleksander Kwaśniewski

Z perspektywy osobistego doświadczenia

Fakt, że po 25 latach nie milknie spór na temat Okrągłego Stołu, roli jakie to wydarzenie odegrało w historii Polski jest dla mnie wystarczającym dowodem na to, że mamy do czynienia z historią, z dniami, które były ważne, które zmieniły polskie losy. I właściwie na tym można by zakończyć wprowadzenie do tej dyskusji. Ale nie sposób nie zauważyć, że Okrągły Stół cieszy się wciąż wielkim zainteresowaniem wielu, a świadczą o tym książki, które wydano od tamtego czasu; świadczy o tym rzecz, która może jest mniej znana, ale spektakularna: otóż w czasie mojej prezydentury postanowiłem, że ten Stół, który przez dwa miesiące był w Sali Kolumnowej Pałacu, a który okazał się bez gospodarza i groziło mu zniknięcie w ciemnych magazynach, został wniesiony do jednej z sal Pałacu Prezydenckiego, tej położonej bliżej pomnika Mickiewicza i tam stał się on ekspozycją, którą można odwiedzać.

Wracając do Okrągłego Stołu powiem, że dla mnie osobiście i myślę że dla uczestników tamtych dni, było to wydarzenie historyczne, ale też o wymiarze bardzo ludzkim, było wydarzeniem szczególnym, fascynującym. Po pierwsze, nigdy wcześniej czegoś takiego nie było, a po drugie, mieliśmy okazję spotkać i spojrzeć w oczy naszym przeciwnikom politycznym, których znaleźmy z prasy i z różnych innych informacji, znaleźmy z legendy, ale przecież nie mieliśmy okazji poznać się bliżej. I ta właśnie możliwość nawiązania współpracy z ludźmi, którzy wydawało się, że są tak dalecy postawami i poglądami od nas samych, była czymś fantastycznym, była wydarzeniem, które pozostało w pamięci na całe życie. W niektórych przypadkach zostało też bliskie znajomości i przyjaźnie. Ale ta zmiana wizerunku przeciwnika, przekonanie, że oto w człowieku z drugiej strony politycznej barykady można znaleźć kogoś gotowego do dialogu, w którym można dojść do porozumienia, było przeżyciem niemiejszym i szczególnym.

O Okrągłym Stole, z tego, co już powiedziałem wynika, że nie będę mówił tutaj w sposób obiektywny, bo chcę mówić bardzo osobiście. Z rozlicznych wydarzeń jakie Polska przeżyła w swej historii Okrągły Stół jest na pewno jednym z najważniejszych wydarzeń w naszej historii najnowszej, jest więc wydarzeniem, do którego warto wracać, warto mówić, które powinno być dla wszystkich swoistą lekcją.

Co zatem po 25 latach warto o Okrągłym Stole powiedzieć, nie powtarzając tego, co zostało już powiedziane i napisane, choćby w ciągu ostatnich dni. Nie ulega wątpliwości że w kraju, który był liderem w organizowaniu powstań narodowych, protestów, różnych form oporu itd., takim też kraju, w którym osiem lat wcześniej miało miejsce wprowadzenie stanu wojennego – przyjęcie metody dialogu, metody Okrągłego Stołu, metody perswazyjnej, a nie siłowej przecież, było już samo w sobie dowodem na szczególną mądrość tych wszystkich, którzy zdecydowali się przy nim zasiąść. Oczywiście cele jakie sobie stawiały strony były różne, i to

jest oczywiście typowe dla każdego Okrągłego Stołu. Ale wiedząc o tym, że strony wychodzą z różnych założeń, różnie oceniają sytuację i mają również przed sobą odmienne zadania do spełnienia, to nie można odebrać ich uczestnikom poczucia tego, że w sytuacji długotrwałego impasu, długotrwałego konfliktu społecznego, jedyną drogą, która może nam przynieść rozwiązanie to dialog i poszukiwanie kompromisu. Można oczywiście powiedzieć, że obie strony, które wtedy siadały do Okrągłego Stołu czyli władza, Polska Zjednoczona Partia Robotnicza i jej sojusznicy, a z drugiej, Solidarność, były tym wieloletnim konfliktem wyczerpane, były słabe, a nie silne. I być może płynie z tego nauka, że Okrągłe Stoły przynoszą rozwiązanie, kiedy siadają przy nich ludzie raczej słabi niż silni, raczej poszukujący rozwiązań a nie przekonani o swojej sile, pragnący rozwiązać coś w sposób jednostronny i bezwzględny.

A więc ta ogólna słabość okazywała się w efekcie wielką siłą tych obrad. Można też powiedzieć że Okrągły Stół zorganizowano, kiedy świat już się zmieniał, trwała przecież pierestrojka i były ważne deklaracje Gorbaczowa. Tak więc wytworzyła się sytuacja, z której warto było skorzystać. I Polska skorzystała. Lekcje historii, z których wcześniej nie umiano wykorzystać, tym razem zostały, powtórzę, wykorzystane. A więc to, że liderzy obu stron, oczywiście kalkulując swoje cele i racje, zdecydowali się skorzystać z tej niezwyklej okazji jaką było rozpoczęcie obrad, było wydarzeniem, które warto docenić, docenić gotowość podjęcia się rzeczy wielkiej.

Zastanawiałem się wielokrotnie czy można było siedząc przy Okrągłym Stole przewidzieć wszystko co się po nim stanie, co z niego wyniknie. Czym był Okrągły Stół, nie mówiąc o szczegółach czy nawet dokumentach, które wytrwale dyskutowaliśmy? Otóż Okrągły Stół otworzył drzwi do wielkiej zmiany i do drogi w nieznaną w Polsce j, jak i w Europie Środkowo-wschodniej. I mówiąc to jestem pewny, co dzisiaj po 25 latach możemy obserwować, a co jest także rezultatem Okrągłego Stołu, to wolno z całym przekonaniem powiedzieć, że jego rezultaty daleko przekroczyły wyobrażenia, które ktokolwiek miał siadając do Okrągłego Stołu. Być może spełniły się niektóre marzenia, ale te marzenia nie były nawet wypowiedane, bo wydawały się całkowicie nierealistyczne. Mówiąc w wielkim skrócie: Okrągły Stół był początkiem drogi końca starego systemu, upadku Związku Radzieckiego, otworzył drogę do zjednoczenia Niemiec, do zbudowania szerokiej perspektywy integracyjnej, Unii Europejskiej. Jeżeli ktokolwiek chciałby powiedzieć, że taką wizję miał siadając do obrad to oczywiście nie mówi prawdy, choć oczywiście część z nas miała takie marzenia i często wbrew naszemu sceptycyzmowi spełniły się one.. Ale to otwarcie drzwi do zmiany, otwarcie możliwości, które spełniały się szybciej niż mogliśmy przewidzieć, a więc wybory czerwcowe, rząd Tadeusza Mazowieckiego, zmiana ustrojowa, która dokonała się na przełomie 1989|90 roku to wszystko zaczęło się przy Okrągłym Stole. A jeżeli nie zaczęło się, bo miało swoje źródła wcześniej, to nabrało niezwyklego przyspieszenia, niezwyklego impetu i dynamiki Dlatego uważam, że nie warto dyskutować z tymi, którzy mówią o zdradzie, mówią o spisku, bo są to argumenty tak bzdurne, że podejmowanie z nimi polemiki nie ma większego sensu. Ale jeżeli ktoś zarzuca, że Okrągły Stół zbudował coś, co nazywamy duchem Okrągłego Stołu i w tym widzą przyczynę wielu kłopotów Polski, bo wtedy nie rozliczono winnych, że nie wyraziście odgraniczono przeszłość od przyszłości - to ja się z tym także nie zgadzam, bo chcę powiedzieć, że ten duch Okrągłego Stołu był zbawienny dla Polski, szczególnie w czasie najtrudniejszych reform roku 1989 i 1990.

Sejm kontraktowy, który w sposób niezwykle, godny najwyższego szacunku, z poczuciem misji i odpowiedzialności za państwo, wspierał koalicyjny rząd Mazowieckiego, a później już mniej koalicyjny, i poparł głębokie, przynoszące także trudne i bolesne skutki reformy gospodarczej, rząd, który w błyskawiczny sposób zbudował podstawy polskiej samorządności - to wszystko było następstwem owego ducha Okrągłego Stołu. Przypominam, że wybory do samorządu odbyły się w maju 1990 roku, to jest zaledwie kilkanaście miesięcy po wyborach czerwcowych. To wszystko jest źródłem dzisiejszego sukcesu Polski, to wszystko jest dowodem na to, że tego czasu, powtarzam, Polska tym razem nie zmarnowała. Istotną rolę odegrał w tym Okrągły Stół, duch myślenia w kategoriach odpowiedzialności wspólnej a nie

egoizmów grupowych czy partyjnych. Warto o tym pamiętać, pamiętać o Okrągłym Stole, jako miejscu, w którym stworzone zostały formy współpracy, formy komunikowania się i zbudowane podstawy wzajemnego zaufania.

Warto oczywiście z okazji tej rocznicy zastanowić się nad tym, co by było gdyby tego Okrągłego Stołu nie było albo gdyby nie zakończył się sukcesem. A pamiętamy tą najbardziej dramatyczną sytuacją czyli zakończenie Okrągłego Stołu, opór ze strony Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych, który w sumie ze względów formalnych, choć w istocie politycznych, nie chciał dopuścić do zakończenia obrad i podpisania porozumień. Pamiętamy tą przedłużającą się przerwę, którą obserwowało miliony Polaków przed swoimi telewizorami.. Młodym ludziom warto przypomnieć, że wtedy telewizja była tylko publiczna, a programów było tylko dwa i takie wydarzenie jak Okrągły Stół było pod względem medialnym podobnym do głośnej wówczas Kobry; był właściwie nieporównywalny z czymkolwiek co widzowie znali z przeszłości. Pamiętam tamte rozmowy, które doprowadziły do tego, że finał okazał się szczęśliwy a dalszy ciąg nastąpił. Ale zastanawiam się nadal, co by było, gdyby drogi się rozeszły i finału nie było. Trudno mi znaleźć dobrą odpowiedź, dobre rozwiązanie, bo w moim przekonaniu porażka Okrągłego Stołu oznaczałaby porażkę ówczesnego kierownictwa partii, które musiało by wziąć odpowiedzialność za brak sukcesu czyli generał Jaruzelski i jego najbliżsi współpracownicy. Sądzę, choć nie chcę spekulować, ale uważam, że pozycja Solidarności i Lecha Wałęsy po takiej porażce też byłaby bardzo trudna, ponieważ atak ze strony własnych radykałów byłby bardzo poważny. Nie wiem, co by było w Solidarności, ale jestem pewien, że doszłoby do zmiany kierownictwa partii, do wyboru kierownictwa, które usztywniłoby swoją politykę, nie szukało rozwiązań w rodzaju Okrągłego Stołu. A więc mogłaby zostać zamrożona polska sytuacja, sytuacja konfliktu społecznego na kolejne lata. I być może ze względu na zwiększenie radykalizmu i na osłabnięcie grupy gotowej do dialogu i kompromisu mogłoby dojść do wydarzeń dużo bardziej dramatycznych i krwawych, które są dzisiaj, jak widzę, największym marzeniem niektórych ugrupowań radykalnych. Także niektórych pisarzy, poetów i publicystów. którzy uważają że dopóki nie spłynie krew, dopóki ludzie nie będą wisieć dopóty historia jest miętka i bez znaczenia. Ja najgłębiej nie zgadzam się z tymi wszystkimi, którzy mówią, że krew jest olejem historii, bo ta jak jej nie ma to właściwie historia się nie dzieje. Dla mnie olejem historii może i powinien stale być mądry kompromis i szukanie porozumienia gdzie tylko jest ono możliwe.

A więc mogło być tylko gorzej. Więcej, wszystko to co mogło lub było alternatywą dla Okrągłego Stołu było gorsze, byłoby marnowaniem czasu, narażaniem Polski na ofiary i niepotrzebne ryzyko. Byłoby też oddaniem palmy pierwszeństwa wśród krajów Europy Wschodniej bo przecież ktoś mógłby wpaść na pomysł zorganizowania Okrągłego Stołu i niekoniecznie musiałaby to być Polska. Mówiąc krótko, stało się więc coś wspaniałego i niezwykłego, że doprowadziliśmy do Okrągłego Stołu.

Ostatnie kilka uwag poświęcić chciałbym znaczeniu międzynarodowemu Okrągłego Stołu. Otóż Okrągły Stół był inspirującym wydarzeniem dla wielu krajów i będę to mówił z własnego doświadczenia. Z metody dialogowej skorzystano w trakcie konfliktu w Czechosłowacji, na Węgrzech, w Niemieckiej Republice Demokratycznej; we wszystkich tych krajach, choć w różnych formach, miały tam miejsce Okrągłe Stoły. Najbardziej zaskoczył mnie Okrągły Stół w NRD, co świadczyło, że jej koniec jest bliski, ponieważ ich Okrągły Stół miał kształt kwadratu, a biorąc pod uwagę precyzję Niemców to wydawało się wyraźnym znakiem, że to się skończy inaczej. Ale w 1992 roku, po wyborach, jak byłem już parlamentarzystą, przyszło nieoczekiwane zaproszenie z Południowej Afryki: tam toczyły się rozmowy między Afrykańskim Kongresem Narodowym, tj. między Mandelą a de Klerkiem czyli „białą władzą”, i właśnie południowoafrykańczycy, ci biali i sprawujący władzę zapraszali nas, bo uważali, że potrzeba im doradzenia ze strony osób doświadczonych. Z Polski zaproszony zostałem ja, Leszek Moćulski i Jarosław Kaczyński, lecz ten ostatni nie pojechał, nad czym ubolewam, ale może i dobrze, bo nie wiadomo jakby się skończyły rozmowy w południowej Afryce. Natomiast chcę po-

wiedzieć, że było to niezwykle doświadczenie a szczególowość pytań jakie dostawialiśmy i ich zainteresowanie pokazywało, że w południowej Afryce, można powiedzieć na drugim końcu świata, szukano jakiegoś wzorca, według którego, mogli by oni zażegnać ostry konflikt jaki miał tam miejsce pomiędzy ludnością białą i czarną, konflikt, którego rozmiary były większe niż w Polsce między Solidarnością a naszą ówczesną władzą. Byłem tam blisko dwa tygodnie, spotkaliśmy się ze wszystkimi liderami i okazało się, że nasze doświadczenie Okrągłego Stołu jest niewystarczające, choć, było inspirujące. Południowa Afryka miała swoje szczęście, miała Mandelę i de Klerka, który zgodził się pójść na rozległy kompromis.

A drugie moje osobiste doświadczenie, które pokazywało jak bardzo nasze polskie doświadczenie i sukces może animować i może zachęcać innych do podejmowania tej drogi to rok 1994, pomarańczowa rewolucja, oraz mój udział jako prezydenta Polski przy ukraińskim Okrągłym Stole który był zupełnie inny od naszego. Chodziło w nim przecież o sfalszowane wybory na Ukrainie. Obok mnie w ówczesnych negocjacjach brali udział przedstawiciele kilku innych państw europejskich, w tym, co chcę podkreślić, także Rosji, o czym dziś zapomina. I w tym przypadku polskie doświadczenie poszukiwania dialogu i kompromisu okazało się tam bardzo pożyteczne i potrzebne.

I na tym „tle ukraińskim” moja ostatnia uwaga. Nasz Okrągły Stół choć stał się w sensie dosłownym meblem jednorazowego użytku, to sama jego idea okazała się metodą, którą można stosować raz po to, żeby odnieść sukces i po to, żeby ustanowić reguły, które później już działają poza i ponad metodami niedemokratycznymi. A więc parlament, instytucje państwa, niezależny bank centralny, co chcę podkreślić, patrząc na obecnego tu z nami j prezesa Belkę. A dzisiejszy problem na Ukrainie polega na tym że chce się zastosować metodę, która jest jednorazowa. Ja oczywiście nie jestem za tym żeby to przekreślać. Nie jestem za tym, żeby metoda dialogu i negocjacji nie była prowadzona. Jednak kolejny raz już jest trudniej. Ale ja mówiłem o osobistych doświadczeniach.

Trzeba więc tym bardziej cieszyć się z sukcesu naszego Okrągłego Stołu, tego jednorazowego, wielkiego historycznego wydarzenia ponieważ powtórki wydają się mniej udane. I to też jest ważne, bo aktorzy są mocno zużyli Dlatego zwycięstwo logiki dialogu nad logiką konfrontacji, jak to trafnie zauważył Adam Michnik w swoim tekście w „Gazecie Wyborczej”, nie powinno być zredukowane do wydarzeń z 1989 roku. Ono powinno być nauką i lekcją dla wszystkich, którzy nie raz i nie dwa znajdują się w sytuacji konfliktu politycznego czy historycznego. Bowiem ze wszystkich metod jakie znamy, metoda dialogu, metoda Okrągłego Stołu daje najwięcej możliwości, najwięcej szans, najmniej ofiar a najwięcej nadziei.

Tak więc raz jeszcze pragnę wyrazić swój szacunek dla tego naszego Okrągłego Stołu, dla wielkiego wysiłku wszystkich, którzy tam zasiedli i pragnę wyrazić radość, że mogłem być jednym z nich. To był naprawdę początek wielkiej przygody, która przyniosła nam tyle dobrego. Chcę także wyrazić głęboki szacunek wszystkim, a była to grupa prawie pół tysiąca osób, którzy współtworzyli Okrągły Stół na jego zapleczu, boiwm przy samy Stole uczestniczyło tylko nieco ponad pięćdziesiąt osób, razem z osobami duchownymi. Jak już mówiłem, odwiedziłem ten Stół niedawno i stwierdziłem, że połowa z tych osób, które przy nim zasiadało, już odeszła, a nazwiska tych, którzy tam siedzieli brzmią jak dzwon. To są nazwiska - potęgi, to są nazwiska osób, którzy już do Okrągłego Stołu mieli wspaniale osiągnięcia, ale później przez kolejne lata i dekady potwierdzili swoje zaangażowanie w Polskę demokratyczną, którzy potwierdzili jak można odnosić sukcesy, którzy zapewnili Polsce i bezpieczeństwo, którzy dali nam i kolejnym pokoleniom szansę na kolejny sukces. Proszę teraz o powstanie, aby chwilą ciszy uczcić Ich pamięć.

Publikowany tekst Aleksander KWAŚNIEWSKI wygłosił inaugurując konferencję, która w 25. rocznicę rozpoczęcia obrad Okrągłego Stołu odbyła się 6 lutego 2014 r. w Sali Kolumbowej Sejmu z inicjatywy i pod patronatem wicemarszałka Sejmu Jerzego Wenderlicha.

Tytuł i niewielkie poprawki wprowadzone w tekście, spisany z taśmy magnetycznej, dokonaliśmy w redakcji.

CZAS WSPÓŁCZESNY I JEGO DYLEMATY

Daniel S. ZBYTEK

Kondycja człowieka czasu globalizacji

Współczesny świat nie jest światem końca ideologii ani historii. Wprost przeciwnie, wraz ze wzrostem dynamiki przemian technologicznych, narastają sprzeczności wewnątrz społeczeństw ludzkich, jak i w skali międzynarodowej. Arabska wiosna, która miała być świtem demokracji w krajach arabskich, okazała się krwawą wojną wszystkich ze wszystkimi – szyitów z sunnitami, alawitów z druzami, muzułmanów wszystkich odmian z chrześcijanami, fundamentalistów z innymi fundamentalistami uznających tych pierwszych za.. za mało fundamentalnych – trudno się zorientować w tych podziałach, tym bardziej, że regionalne i globalne mocarstwa i państwa aspirujące do takiej roli aktywnie włączyły się w walki i rzezie. Ginią setki tysięcy ludzi, miliony uciekają, aby potem wędrować w państwach, które nie mają ochoty, aby ich przyjąć, gdyż grozi to destabilizacją. Nikt nie mówi o demokracji, poszanowaniu jednostki, lepszej organizacji państwa, sprawnej gospodarce. Dużo się mówi o wrogach – mniej lub bardziej urojonych, ale wskazanych konkretnie – zawsze jest to ten inny.

Historia Europy przeszła w XX wieku przez dwa systemy ideologiczne: faszyzm i komunizm, które w swym politycznym wydaniu doprowadziły do śmierci dziesiątków milionów ludzi. Idee, którymi posługiwali się przywódcy tych systemów nie miały nic

wspólnego z rozumem, sami ci przywódcy to ludzie, którzy nie powinni przewodzić masom, w ogóle nie powinni być traktowani, jako politycy przez kogokolwiek. Nieudaczny malarz z Wiednia stał się uwielbianym przez tłumy wodzem, „furherem”. Inny, absolwent niższego seminarium duchownego i agent lokalnej policji, generalissimusem.

W XX wieku masy wybrały na swoich wodzów ludzi, takich jak większość z nich – przeżartych ambicją, pozbawionych wiedzy i niezainteresowanych jej zdobyciem, pełnych pogardy dla ludzi, otaczających się takimi samymi, jak oni zerami.

Ci ludzie i prowadzone przez nich masy dopuściły się potwornych zbrodni. Fakt, że było to możliwe, że w krajach europejskich, które od początku XIX wieku uważały się za najwyższe ucieleśnienie ludzkiej cywilizacji, dla ludzi myślących było i jest trudne do zrozumienia. **Niewielu myślicieli podjęło to zadanie. Jednym z nich, i niewątpliwie najwybitniejszym, była Hannah Arendt.** Jej teza o „banalności zła” wywiedziona w trakcie obserwacji procesu Adolfa Eichmanna w Jerozolimie w roku 1961 stała się prawdą, umożliwiającą zrozumienie systemów totalitarnych. Eichmann, któremu nie udało się nawet ukończyć szkoły zawodowej ze względu na braki intelektualne, stał się twórcą biurokratycznej maszyny, która w krótkim czasie wymordowała milio-

ny ludzi – przede wszystkim Żydów, bo ich unicestwieniem zajmował się Eichmann, ale wykorzystana została także do zabicia ponad półtora miliona Polaków, podobnej liczby jeńców Armii Czerwonej, setek tysięcy Cyganów i przedstawicieli innych narodowości. **Arendt widzi nazizm jako system biurokratyczny, w którym jednostka ludzka funkcjonuje nie jako człowiek, ale jako element maszinerii.** Arendt pokazuje, że w tym systemie nie funkcjonowali tylko kaci, ale i ofiary – za te spsstrzeżenia posypały się na niej gromy ze strony innych Żydów. To zrozumiałe i uzasadnione, ale Arendt pisała o mechanizmie tworzenia i trwania zła w ludzkim społeczeństwie, a nie o kategoriach winy i kary jednostek.

Hitler, Stalin ze swoimi akolitami odeszli w niebyt. Niestety, warunki, w jakich może odrodzić się zbrodniczy system totalitarny, dalej są aktualne. Współczesny świat jest społecznie, politycznie i gospodarczo powiązany na skalę niewyobrażalną w przeszłości. Wydarzenia, które mają miejsce w odległych krajach w równym stopniu oddziałują na sytuację po drugiej stronie globu jak i same są efektem zmian zachodzących w miejscach odległych na tysiące kilometrów. To wzajemne powiązanie zwiemy globalizacją, ale sam termin nie odnosi się do przyczyn zachodzących zjawisk. Globalizacja to dziś zjawisko dotyczące życia wszystkich ludzi na naszym globie – nie tylko określonych środowisk – jak armie imperialne, kupcy, niewolnicy – jak to miało miejsce w minionych wiekach.

Eichmann w Jerozolimie Hannah Arendt to reportaż sądowy napisany przez filozofa, wyrosłego w Niemczech, w tradycji Hegla, Marksa, Nietzscheho, Husserla i partnera intelektualnego Arendt, Martina Heideggera. Tradycja filozofii niemieckiej XIX i początków XX wieku koncentruje się w dużym stopniu nad istotą ludzkiego bytu w kontekście społecznym. Arendt pozostaje wierna tej tradycji w swojej podstawowej pracy *Kondycji ludzkiej*.

Jej analiza jest szczególnie ważna dla nas dziś, w drugim dziesięcioleciu XXI wieku. **Analiza sytuacji ludzkości w XXI wieku wymaga zastanowienia się nad istotą postawy człowieka wobec innych ludzi, zachodzących zmian społecznych i zmian ludzkiej samo-**

świadomości. Niezbędne jest zastanowienie się nad nami, jako ludźmi, zrozumienie naszego miejsca w świecie przyrody i społeczeństwa – tak jak to czynili starożytni filozofowie. *Kondycja ludzka* Hannah Arendt to dzieło o kondycji ludzkości po Holocauście. Świat, który od czasów Oświecenia uznawany był za racjonalny, a postęp społeczny w ślad za technicznym i naukowym był do Drugiej Wojny światowej uznany za oczywisty, załamał się w obliczu nazizmu, systemu ideologicznego, dla którego „rasa” – sam w sobie twór w dużym stopniu umowny i ułomny, uznany został za fundament określający miejsce człowieka w świecie.

Niemiecka filozofia, pozostająca od drugiej połowy XIX wieku pod wpływem Hegla, wyjaśniała dzieje ludzi w kontekście historycznych przemian dialektycznych – ze starego systemu społecznego wyłaniał się nowy, pod wieloma względami lepszy, bardziej odpowiadający wyzwaniom współczesności, lepiej spełniający wymogi ludzi w zmieniającym się świecie. **Nazizm stanowił zaprzeczenie tego nurtu filozofii niemieckiej.** Ruch masowy Austriaków i Niemców, Europejczyków uznawanych na początku XX wieku za najlepiej wykształconych i zorganizowanych, narody „filozofów” przyjął za przewodnią doktrynę ideę mordu i niszczenia innych narodów, ludzi niepełnosprawnych, chorych. To nie była europejska cywilizacja, tak jak ja rozumiano od ponad tysiąca lat. W fundamentalnych dziełach: *Kondycji ludzkiej* i *Korzeniach totalitaryzmu* Arendt analizuje przyczyny powstania nazizmu i jego wpływu na masy i elity. To ważna analiza, także dla ludzkości początków trzeciego tysiąclecia, nękanego konfliktami społecznymi o globalnym zasięgu.

Arendt analizowała Niemcy – totalitaryzm ma jednak zasięg ogólnoświatowy: nie tylko Rosja i Chiny, ale i Japonia lat Drugiej Wojny, a w latach powojennych Kambodża, Uganda, Indonezja, Birma – **nienawiść na tle rasowym, prowadząca do ludobójstwa pojawia się coraz to w innym miejscu naszego globu.** Współczesne krwawe niepokoje w krajach muzułmańskich także posługują się ideologią rasistowską, – choć wrogiem nie jest człowiek innej narodowości, ale często ktoś o innym wyglądzie lub religii. W Syrii, Pakistanie,

Afganistanie jest nim szyita, w Iranie sunnita, w Birmie muzułmanin.

Niemiecka filozof analizuje struktury polityczne, w jakich funkcjonują ludzie, zgodnie z Arystoteleskim określeniem, że człowiek to zwierzę polityczne, że tylko funkcjonowanie człowieka, jako osoby publicznej, podejmującej decyzje dotyczące społeczności i w pełni ponoszącej za nie odpowiedzialność, czynią z nas człowieka. Od czasów Starożytności uznawano za pewnik, że człowiek, ludzie podejmują decyzje, jeśli nie zawsze racjonalne, to zawsze umotywowane interesem grupy sprawującej władzę. Nazizm jest oczywistym zaprzeczeniem tej tradycji politycznej. Oznacza zerwanie z tradycją polityczną i wprowadza człowieka masowego, nieodpowiedzialnego za swoje czyny, do procesu politycznych decyzji, niemającej związku z tradycją przeszłych pokoleń. Jeżeli mógł się pojawić system ideologiczny zrywający z tradycją historyczną, czy jest on wyjątkowy dla Europy, czy też unaocznia nam globalne procesy polityczne?

Globalizacja to potocznym rozumieniu termin, którym określa się współczesne relacje ekonomiczne i polityczne, przy czym de facto, oznacza ona przede wszystkim ekspansję ekonomiczną Zachodu, a głównie globalne operacje finansowe. Polityka bankowa, dążąca do pozyskiwania nowych rynków zbytu jest rzeczywistością – banki rozwiniętych ekonomicznie krajów Ameryki Północnej, Unii Europejskiej i Japonii agresywnie pozyskują rynki krajów dotychczas będących poza głównym terenem ich działalności, ale także i wewnątrz krajów rozwiniętych nastąpiło przewartościowanie gospodarcze – **banki stały się samodzielnym, podstawowym graczem ekonomicznym, spychając realną gospodarkę, rozumianą, jako proces wytwarzania wyrobów „labor actvia” człowieka, na drugi plan.** W ostatnich latach dołączyły do nich Chiny i państwa Azji Południowo-Wschodniej, niemniej system działania, wykorzystywane instrumenty finansowe wymyślone zostały na wschodnim wybrzeżu USA i umożliwiły Wall Street przejęcie kontroli nad funkcjonowaniem finansów praktycznie całego świata. Pod tym względem globalizacja jest faktem.

Tym niemniej ta globalizacja jest pod wieloma względami ułomna – za ekspansją kapitału nie idzie ekspansja innowacyjna, technologiczna i kulturowa. Nowym społeczeństwom narzucane są rozwiązania produkcyjne i będące ich skutkiem odmienne systemy kulturowe obce miejscowej tradycji, toteż najczęściej traktowane, jako wrogie. Dodatkowo jednostronność ekspansji: surowcowa, jak to ma miejsce w dawnym ZSRR, w krajach Bliskiego Wschodu, Wenezueli, lub produkcyjna preferująca tanią siłę roboczą – jak w Europie Środkowo-Wschodniej, Indiach, Chinach powoduje alienację tamtejszych społeczeństw z głównego nurtu rozwoju cywilizacyjnego świata. Chiny stały się źródłem wytwarzania tanich wyrobów przemysłowych, ale opartych na technologii powstałej na Zachodzie. Kapitał z Chin i Indii, a także krajów byłego ZSRR, inwestuje na Zachodzie, – ale jest to znacznym stopniu relokacja kapitału pozyskanego, jako świadczenia za usługi kompradorskie lub jako ucieczka przed niepewnością sytuacji społecznej i politycznej w krajach macierzystych, a nie inwestycja o charakterze ekspansji technologicznej.

Analiza globalizacji wymaga spojrzenia na ideowe fundamenty naszych rozważań. Koncepcje konfliktu kulturowego Samuela Huntingtona nie są w stanie wyjaśnić, dlaczego globalizacja natrafia na bariery w różnych społecznościach, nawet należących do tej samej cywilizacji – jak Turcja i Syria, Indie część zachodnia (Gudżarat) i równin północy (Bihar). Zerwanie z tradycją ma wszędzie krwawy charakter – Talibowie w Pakistanie i Afganistanie zajmując nowe tereny, mordując przedstawicieli miejscowych elit – nie tylko liderów politycznych, ale przede wszystkim osoby darzone tradycyjnie szacunkiem: pirów, szejchów, uczonych w Koranie i prawie miejscowym.

Książka Hannah Arendt *Kondycja ludzka* to spojrzenie filozofa na fundamenty tradycji kultury ludzkiej – od starożytności po czasy współczesne. **Arendt pokazuje, że ludzie, zależnie od czasów, w których żyli, oraz społeczeństwa i warunków naturalnych, mieli odmienny pogląd na swoje miejsce w świecie, rolę, jaką człowiek ma do spełnienia w życiu i relacje wzajemne. Współcześnie brakuje tego**

zastanowienia nad kondycją ludzką w XXI wieku. Zdajemy sobie sprawę z różnic cywilizacyjnych, różnic w tradycjach kulturowych, szczególnie, gdy stoimy w obliczu narastających niepokojów społecznych w krajach arabskich, wzrostu znaczenia Chin i Indii, i stopniowego zaniku wpływu Europy w świecie.

Arendt analizowała zjawisko nazizmu – najważniejszego zdarzenia w jej życiu, które położyło kres niemieckiej ideologii oświeceniowej. Czuli się Niemką, godną kontynuatorką tradycji Hegla: i jego następców; Marksa, Heideggera, Jaspersa. Uznała, że nazizm zerwał tradycję kulturową, heglowski historyzm, zgodnie, z którym w na drodze dialektycznej z przeszłości wyłania się przyszłość – lepsza, doskonalsza. Nikt nigdzie nie mógłby uznać, że ideologia nazizmu jest pod jakimkolwiek względem krokiem naprzód w rozwoju cywilizacji ludzkiej – był to oczywisty, głęboki regres. Arendt koncentrowała się na doświadczeniu europejskim – właściwie uogólniała na gruncie europejskim doświadczenia Niemiec.

Dzisiaj możemy stwierdzić, że to nazistowskie doświadczenie, zerwania odwiecznej nici tradycji nie jest wyjątkiem dla Europy. Nazistowski antysemityzm był tylko instrumentem, nowej, zbrodniczej ideologii służącej do zdobycia władzy przez masy – i w tym jest istota – odtrącenie przez masy władzy ludzi lepszych, „aristo” jak to definiował Platon – nie ma tu znaczenia na ile byli oni rzeczywistymi arystokratami myśli – ale kierowali się rozumem, doskonalili proces manipulowania pospółstwem, masą (np. opis manipulacji masami rzymskimi w II wieku p.n.e. w Polybius: *The Rise of the Roman Empire*, The Penguin, London 1979).

W wieku XX to masy przejęły władzę, bezpośrednio – fizycznie likwidując dotychczasowe elity, do których zaliczyli Żydów, bo tak było to przyjęte przez masy, niezdolne do zrozumienia rzeczywistych procesów społecznych. **Analiza Hannah Arendt totalitaryzmu jest istotnym składnikiem kultury ludzkiej XX i XXI wieku.** Nazizm i komunizm w XX wieku doprowadziły do hekatomby ofiar i mimo tego, w wieku XXI ciągle a świecie jest wielu zwolenników tych mrocznych idei. Dlaczego tak jest pozwala nam zrozumieć *Kondycja ludzka*. Ludzie dzisiaj, w dobie globalizacji

funkcjonują w podstawowych zarysach zachowań jak poprzednie pokolenia.

Globalizacja nie jest nowym zjawiskiem, charakterystycznym dla naszej współczesności. Istotna jest natomiast jej współczesna skala i tempo rozprzestrzeniania się nowych zjawisk. Ludzkość zawsze w swoich dziejach dokonywała wymiany wynalazków i idei. Rolnictwo, które uznawane jest za rewolucję cywilizacyjną, która zmieniła losy człowieka z istoty myśliwsko-zbierackiej, niewiele różniącej się od zwierząt w członka społeczności, współpracującego z innymi ludźmi, budującego miasta i tworzącego państwa. Rolnictwo, które powstało w dolinach rzek Bliskiego Wschodu rozprzestrzeniło się na inne tereny zamieszkałe przez ludzi. Podobnie było z inną rewolucją, która zagroziła poważnie społeczności rolniczym – udomowienie konia na stepach południowej Ukrainy spowodowało, że pasterskie indoeuropejskie plemiona z tych terenów podporządkowały sobie obszary od Atlantyku po Zatokę Bengalską.

Dramatyczne zmiany społeczne nie są charakterystyczne tylko współczesnym ludziom. Arendt przywołuje upadek greckiej polis nie tylko, jako upadek cywilizacji, ale także, jako upadek polityki, jako konsensusu w dokonaniu wyboru działania przez wolnych obywateli. Oczywiście starożytni wolni obywatele nie musieli się trudzić pracą fizyczną, to była domena niewolników, ale w ramach swojej rodziny posiadali pełną, niczym nieograniczoną władzę. Chrześcijaństwo upodmiotowując niewolników, nadając im pełnię praw, jeśli nie na tym świecie, to po śmierci, nie tylko umożliwiło polityczną manipulację tłumem, ale także postawiło pracę w centrum ludzkiego działania. Polityka przestała być narzędziem osiągania porozumienia przez wolnych obywateli w celu osiągnięcia celu akceptowanego przez wszystkich wolnych obywateli, a stała się środkiem, metodą oddziaływania na zbiorowość ludzką w celu osiągnięcia celów określonych przez niewielką grupę.

Arendt uważa taki sposób uprawiania polityki za ułomność, która umożliwia sprawowanie władzy wbrew interesom ludzi, a jej zwieńczeniem jest totalitaryzm – władza elity, która nie reprezentuje jakichkolwiek społecz-

nie przydatnych wartości – manipuluje ludźmi tylko i wyłącznie w celu sprawowania władzy. Według Arendt, człowiek posiada kondycję, ale nie naturę. Dowodzi to totalitaryzm, który jest nie tylko ideologią zrywającą z tradycją, ale też i dowodem na brak ludzkiej natury. Człowiek przybywa do świata, funkcjonuje w nim, jako jednostka przeżywająca, człowiek pracy, lub, co dotyczy mniejszości, jako jednostka działająca, która dąży do stworzenia po sobie śladu, potwierdzenia swojej nieśmiertelności.

Arendt nie daje nam gotowej odpowiedzi, jak należy postępować, aby nazizm nie powtórzył się w przyszłości. **Ukazuje natomiast jego podstawową cechę, pomijaną niestety przez współczesne elity polityczne – że oznacza on zerwanie z tradycją kultury ludzkiej – w da-**

nym miejscu i czasie, odmiennym w różnych częściach świata. Upodmiotowienie polityczne mas musi uwzględniać miejscowe tradycje, szacunek dla tradycji kulturowych, włączenie w ich system nowych technicznych i technologicznych innowacji, jako elementu składowego.

Literatura:

1. Arendt H., *Kondycja ludzka*, Wydawnictwo Aletheia, Warszawa 2010.

2. Arendt H., *O przemocy, Nieposłuszeństwo obywatelskie*, Wydawnictwo Aletheia, Warszawa 1999.

3. Arendt H., *Eichmann w Jerozolimie. Rzecz o banalności zła*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2004.

4. Arendt H., W.H.Auden *Drut kolczasty*, Wydawnictwo Fundacja Augusta Hrabiego Cieszkowskiego, Warszawa 2011.

Autor tekstu jest ekonomistą i historykiem, członkiem zespołu naszej redakcji.

Małgorzata B. JAKUBIAK

O ogóle i szczególe

Skłonność do uogólnień jest powszechna. Na podstawie znajomości kilku panów Brown'ów i Richardson'ów, Iwanowów, Khatanbatarów i Kowalskich tworzy się powszechnie przyjęte wizerunki Anglików, Rosjan, Mongołów i Polaków. Krótka, turystyczna podróż do Włoch bywa podstawą tworzenia najogólniejszych sądów o tym kraju, zwyczajach i charakterze jego mieszkańców od Sycylii aż po Mediolan. A znajomość z kundelkiem czy jamnikiem kuzynów pozwala zabierać głos w sprawie tego, jakie naprawdę są psy i co lubią a czego nie lubią najbardziej.

1.

Zetknięcie się z jakąś niewielką częścią czegoś, owocuje skłonnością do tworzenia sądów ogólnych i wypowiedzania się o tej, nieznannej, a często różnorodnej i okazałej całości. Zupełnie jak w tej przypowieści indyjskiej o trzech ślepcach, którzy wędrując

wspólnie napotkali słonia. Chcąc dowiedzieć się co to takiego stanęło na ich drodze wyciągnęli ręce: jeden dotknął trąby, drugi nogi, trzeci ucha. Stąd jeden wyprowadził wniosek, że drogę zagrażdza im wielki wąż, drugi orzekł, że jest to słup, dla trzeciego nie było wątpliwości, że jest to wachlarz.

Uogólnianie, a wraz z nim podział rzeczy i zjawisk na klasy, kategorie, gatunki, rasy etc. należy do najbardziej ugruntowanych sposobów myślenia.

Powszechna jest zatem skłonność do formułowania sądów ogólnych i tworzenia pojęć ogólnych – i co znamienne – do przypisywania owym wspomnianym grupom, kategoriom itp. cech stałych, niezmiennych, a także skłonność do bezwarunkowego wartościowania zjawisk, rzeczy i osób ich na podstawie ich przynależności kategorialnej.

Jak bardzo umysł ciąży do tego, by na podstawie jednostkowych spostrzeżeń i doznań

tworzyć ogólne wizerunki, by subiektywnym kolorytem jednego zdarzenia, jednej przeżytej chwili, jednej napotkanej osoby zabarwić swoje widzenie całego nawet świata, wie prawie każdy. Przykre i smutne doznania jednostkowe rodzą skłonności do postrzegania życia i świata jako złych i ciężkich, gdy zaś wszystko idzie jak „z płatka” powiada się, „że świat jest piękny, a życie nie jest takie złe”.

Nawet filozofom, nieskorym, wydawałoby się, do pochopnych sądów, rozważającym i analizującym, zdarzało się na podstawie własnych, jednostkowych okoliczności życia, subiektywnych doznań i sposobów ich przeżywania, na podstawie nastrojów związanych z jednym miejscem i środowiskiem, wypowiadać sądy o życiu w ogóle. Smutny, pełen lęków i samoudręczeń, z głębią przeżyć niezrozumiałych dla mieszczańskiego i pospolitego środowiska w którym przyszło mu żyć, wyobcowany i osamotniony Søren Kierkegaard – norweski filozof żyjący w XIX wieku – opisuje świat i życie jako czarę rozpaczy. Tytuły jego dzieł są znamienne: *Bojaźń i drżenie*, *Choroba na śmierć*. Ale Claude Helvetius, który prowadził wesołe życie dworskie, w którym miłostki, taniec, szermierka zajmowały poczesne miejsce, twierdził, że to świat jest wesoły i przyjemny, a książka, w której o tym pisze nosi tytuł *Szczęście*. W ten sposób mały wycinek dostępnej dla nich rzeczywistości w postaci życia, które było ich udziałem rzutował na ich pogląd na „świat i życie w ogóle”.

Gdy napotyka się nowe, czy nieznanne zjawisko potrzeba zrozumienia go polega między innymi na próbach przypisania go do jakiejś znanej grupy, klasy, rodzaju czy gatunku, a niemożność zrobienia tego budzi niepokój i dezorientację. Zjawiska, które nie mieszczą się w istniejących już klarownych i ustalonych podziałach (klasyfikacjach) zawsze przysparzały problemów naukowcom; ale i w życiu codziennym, w sytuacji, gdy zupełnie nie wiadomo z czym ma się do czynienia odczuwa się zaniepokojenie. **To, co nieznanne i niezrozumiałe budzi dezorientację i swoisty niepokój, i bardzo chce się ustalić na początek chociaż rodzaj zjawiska, z którym ma się do czynienia.** Myśl ludzka miewa przy tym tendencje do „kostnienia” w zakresie pewnych znanych

i już wcześniej ustalonych kategorii zjawisk i cech im przypisanych, toteż gdy natrafi się na coś, co nie pasuje do żadnej z nich pojawia się prawdziwy kłopot, szczególnie dla tych, którzy nie chcą przekroczyć granic myślenia schematycznego. Takie schematycznie i standardowo traktowane „myślenie kategorialne” pozbawione wszelkiej zdolności do modyfikacji sprawia, że albo odrzuca się nietypowe zjawisko jako „nie mogące istnieć” albo neguje się w nim cechy nietypowe, zalicza się do jakiejś kategorii i nie przyjmuje się absolutnie odmienności danego indywiduum. Gdy po raz pierwszy opisano meteoryty, które spadły na ziemię, uczeni, nie mogąc zaklasyfikować zjawiska kawałów żelaza spadających z nieba uznali, że nie ma i nie może być nic takiego. Zaś pewna moja sąsiadka spacerująca ze swoją suczką, od lat spotyka na tych spacerach starego pitbula ze swoim panem. I niezmiennie od lat na ich widok wbiega na osiedlową górkę i chowając się tam za mizernym krzaczkiem wydaje z siebie nieartykułowane dźwięki, mające oznaczać jej przerażenie.

To nic, że przez te 8, czy nawet więcej lat pit bul, wychowany na zrównoważonego i pogodnego psa, spaceruje spokojnie po osiedlu i okolicy, to nic, że każdego dnia udowadnia otoczeniu, że jest nie tylko pogodnym wesołkiem, skorym do zabawy ze wszystkimi, ale też i pacyfistą (albo ofermą – to zależy od punktu widzenia), który obszczekany przez maleńkiego orka woli mu raczej zejść z drogi niż podjąć jakąś psią dyskusję. Bo w jej mniemaniu pitbul musi być groźny i zły, o czym świadczyć ma sama przynależność do rasy, a jeśli taki nie jest (podobnie jak byczek Fernando) budzi u wielu konsternację jako obiekt nie mieszczący się w raz na zawsze określonych ramach. Zapewne skala zjawiska w powyższych podanych przykładach jest krańcowo różna, ale sam sposób myślenia oparty jest na podobnych mechanizmach.

Błędy nadmiernego uogólniania, a także dezorientacji gdy jakieś zjawisko nie mieści w znanych szufladkach dotknąć może wszystkich, bez podziału na kategorie uczonych i mniej uczonych. Bardzo łatwo też zapomina się, że wprawdzie dana kategoria rzeczy zawiera pewne cechy wspólne, ale każde

indywiduum, zaliczane do danej kategorii, dlatego jest owym indywiduum, bo ma też cechy odrębne. **Inaczej świat byłby zbiorem rodzajów i gatunków, w których każdy zawierałby jednakowe klony.**

Prof. Narcyz Łubnicki (1904–1988), filozof, w tym logik, napisał: *Zbyt pochopne uogólnienie (przypisywanie wszystkim przedmiotom pewnej grupy własności dostrzeżonej tylko u niektórych członków tej grupy) może pociągnąć za sobą najfatalniejsze konsekwencje w każdej dziedzinie, zwłaszcza zaś w dziedzinie polityczno-społecznej. Na tle takiego bezkrytycznego, bezwzględnego uogólnienia powstają najgroźniejsze przesady i zabobony (...). Wszystkie animozje dzielnicowe, narodowe, rasowe, wyznaniowe itd. powstają przez niemądre, bezpodstawne uogólnianie* (N. Łubnicki, *Nauka poprawnego myślenia*, W-wa, 1987). Dodam, że w dziedzinach społeczno-politycznych, w próbach tendencyjnego przypisania jakiejś grupie cech niekoniecznie w sposób absolutny i bezwarunkowy stanowiących o jej istocie, sięga się do różnych argumentów, na miarę czasów. Błękitna krew lepiej urodzonych, czy kolor skóry ludzkiej, zależny nie tyle od szerokości geograficznej czy warunków klimatycznych co od „jakości” ludzi to już stare argumenty (choć widać aktualne). Czasy współczesne (rozumiane jako wiek XX i XXI) mają dodatkowo genetykę (zwaną wcześniej eugeniką), która wykorzystana w nieuczciwych, stronniczych argumentach służy niejednokrotnie do zamknięcia kogoś raz na zawsze w ramach ściśle zamkniętej kategorii. I w tym przypadku znowu mamy do czynienia z absurdalnym uogólnieniem, bo geny są czynnikiem od którego zależy wiele cech, ale bynajmniej nie wszystkie. Jeśli by tak było, trzeba by zanegować sens wychowania, nauczania, resocjalizacji.

Wydawać mogłoby się, że wszystko to, co zostało tu powiedziane jest czymś rozważaniem, wszak każdy rozsądny człowiek wie, że przysłowiowy „flegmatyczny Anglik” w rzeczywistości może okazać się Anglikiem pełnym temperamentu, a „ognisty Hiszpan” w indywidualnej postaci pewnego pana Fernandeza, albo Calderona, może być go pozbawiony, pitbul może okazać się „kanapowcem”

zaś posługiwanie się takimi uproszczonymi obrazami jest pozbawionym większego znaczenia niegroźnym, potocznym i uproszczonym sposobem wyrażania emocji, który jednak znika, gdy trzeba wydać opinie przemyślaną, poważną.

Wydawać by się tak mogło, ale tak nie jest. **Jakże często w (pozornie) poważnych dyskusjach osób „medialnych” zamiast wnikliwego rozróżnienia niuansów poszczególnych zjawisk, żongluje się gotowymi ogólnikami, pojęciami, których odpowiednikami nie są żywi ludzie, lecz bliżej nieokreślone abstrakty.**

2.

Oprócz znanych i uznanych kategorii, które i tak nie mieszczą w sobie licznych zjawisk „nie pasujących” tworzone są nieomal na każdą okoliczność grupy i rodzaje, których członkom, wydawałoby się, poważni i wykształceni ludzie chcą raz na zawsze przypisać pewne cechy i na tej podstawie określić ich charakter i los życia. Mam tu na myśli głównie kategorie społeczne, abstrahując w tym momencie od kategorii nauk ścisłych. Nie wszystkie kategorie pośród tych wyodrębnionych i uwypuklonych na potrzeby chwili i sytuacji, i związane z nimi uogólnienia mają anegdotyczne i humorystyczne zabarwienie jak kategoria blondynek. Dla uzasadnienia różnych interesów, upodobań, chęci lub niechęci można zebrać niewygodnych czy nielubianych ludzi w najrozmaitsze kategorie, po czym przypisując im absurdalne cechy stworzyć abstrakty wobec których wyrabia się negatywne opinie społeczne oraz podejmuje działania destruktywne.

Nie tak dawno, w związku z paraolimpiadą, został wygłoszony w mediach pogląd, że osoby niepełnosprawne nie powinny uprawiać sportów „fizycznych”, powinny jedynie grać w szachy.

W związku ze sporami na temat *in vitro* dowiedzieliśmy się, że kategoria dzieci tak poczętych jest odrębna i zarazem „wyjęta” z ogólnej kategorii dzieci i naznaczona przez posiadanie specjalnej fałdki na ciele.

W dyskusjach skrajnych feministek i różnie skrajnych szowinistów męskich ciągle

słyszymy, co powinna robić, pragnąć i czuć kategoria mężczyzn i kategoria kobiet, jako osobników o cechach raz na zawsze ustalonych i na ogół takich jakie pasują akurat komuś do uzasadnienia jego poglądów, co powinni robić mężczyźni, a do czego stworzone są kobiety.

Przykładów takich jest wiele na każdym kroku, bo tak już jakoś jest, że ludzie dla swych często pierwotnych instynktów i motywacji poszukują głębi teoretycznych uzasadnień.

W dyskusjach tych poraża ignorancja i brak myślenia, które to niedobory czynią wszelkie debaty i spory jałowymi. Elementarna znajomość logiki pozwala zrozumieć zależności między pojęciem ogólnym, nazwą a elementami zawierającymi się w tym pojęciu, elementami tworzącymi klasę, gatunek, etc. Łatwiej można wtedy zrozumieć, że wprowadzić niepełnosprawnego należy niewątpliwie do klasy niepełnosprawnych (choć sportowcy tej grupy zadziwiają swoją właśnie sprawnością, rodzajem uprawianego wyczynu dobranym do możliwości, ale czy i tzw. „pełnosprawni” nie wybiera dziedziny zgodnie ze swoimi możliwościami, zaś w innych dziedzinach okazałby się do niczego?), ale klasa ta zawiera się w klasie ludzi, a ci, jak wiadomo mają różne potrzeby, wynikające z ich zainteresowań, temperamentu i zbyt wielu jeszcze czynników, aby je tu wymienić. A ludzie, jak wiadomo, jedni wołają szachy, a inni wołają pomknąć na rowerze. W wypowiedzi o paraolimpiadzie, tak jak i niepełnosprawnych sportowców, uogólniono także całą kategorię widzów – kibiców; skoro dla jednemu nie podoba się oglądanie rowerzysty pedałuującego rękoma, to jest oczywiste, że cała reszta kibiców to on sam do potęgi n.

Podobnie jest z przynależnością do klasy kobiet czy mężczyzn, która to przynależność nie wyklucza ich cech i zainteresowań szerszych niż te ściśle związane z płcią.

Bycie zarazem matką i adwokatem logik wytłumaczy za pomocą tzw. „kół Eulera”, którymi ilustruje się relacje klas i elementów (zawieranie się, mnożenie ich i dodawanie, czyli mówiąc zwyczajnie, to że lekarze i literaci mogą stworzyć grupę lekarzy-literatów, a kobiety i mężczyźni zawierają się w klasie ludzi).

Socjologowie zaś ujmą to inaczej, będą mówić o tym, że jedna osoba sprawuje zarazem wiele ról społecznych. Znajomość logiki czy socjologii nie jest jednak wcale warunkiem tego by być zdolnym do obserwowania świata, myślenia i wyciągania własnych wniosków. **A wtedy łatwo można zauważyć, że zjawiska świata nie dadzą się bezwarunkowo i jednoznacznie poszufladkować i takie przypisywanie zjawiska do jednej kategorii i wyznaczanie mu cech – granic poza które nie ma prawa wyostać się jest nie tylko absurdem, ale i źródłem poważnych kłopotów teoretycznych i realnych.**

3.

Problemy z tym co ogólne i z tym, co jednostkowe zostały dostrzeżone we wczesnych wiekach średnich i znane są w historii filozofii jako spór o uniwersalia (mówiąc inaczej o naturę powszechników, czyli pojęć ogólnych, o to, czym one naprawdę są i jakie mają odniesienie do rzeczywistości). **Spór ten najburzliwiej rozgorzał w wieku XI i XII, ale i potem, przez całe wieki temat ten powracał wciąż na nowo. Toczył się on pomiędzy teologami a zwolennikami „uracjonalnionej” wiedzy, tzw. dialektykami i miał wielkie i swoiste zarazem znaczenie, bo stawką było uzasadnienie lub podważenie całej problematyki teologicznej (bazującej na abstraktach) i wykazanie wyższości rozumu nad wiarą i objawieniem, lub odwrotnie – podporządkowanie wiedzy racjonalnej (w tym logiki) racjom teologicznym.** Jeśli pojęcia ogólne istnieją jedynie jako twory umysłu, określane wspólną nazwą, w rzeczywistości zaś będące zbiorem jednostkowych rzeczy o cechach wspólnych, ale i także przypadkowych, – jak twierdzili dialektycy – to cała teologia, wszelkie dociekania dogmatyczne byłyby jedynie bezpłodnym żonglowaniem słowami.

Podważone byłoby np. pojęcie „człowieka w ogóle” jako idei w zamierzeniu Stwórcy przed stworzeniem pierwszego człowieka konkretnego i podważona byłaby także. augustyńska koncepcja „jedności Kościoła” pojmowana jako realnie istniejący byt ogólny, a nie jako jedynie zbiór jednostkowych wiernych. Jeśli jednak takie abstrakty istniałyby swym ideal-

nym bytem naprawę, a rzeczy jednostkowe stanowiłyby ich (niedoskonałe) odzwierciedlenie, tak jak to głosi teologia – nawiasem mówiąc dla potrzeb której wykorzystano platońską naukę o istniejących realnie ideach i ich niedoskonałym odzwierciedleniu w postaci przedmiotów realnego, ziemskiego świata – to oczywiście świadczyłoby to o ich wyższości nad dialektyką, naukami opartymi na rozumie, czyli dyscyplinami wywołonymi (nieteologicznymi).

A zatem spór ten miał znaczenie nie tylko poznawcze, teoretyczne, ale był wyrazem i instrumentem walki o słuszność światopoglądu świeckiego lub też teologicznego, a co za tym idzie prymat władzy kościelnej, opartej na objawieniach i wierze lub laickiej, kierującej się argumentami rozumowymi.

Spór o uniwersalia na ogół uważa się za wygasły, a przynajmniej za mocno przygasły – szczególnie w jego teologiczno-dialektycznej płaszczyźnie konfliktu. A jednak problemy związane z posługiwaniem się abstraktami, ze sposobem ich tworzenia i rozumienia nie straciły na aktualności również w świecie współczesnym.

4.

Dlatego też Tadeusz Kotarbiński powrócił do nich w swojej koncepcji reizmu, zwanej też konkretyzmem, zgodnie z którą istnieją tylko rzeczy konkretne, a świat jest ich ogółem. Zgodnie z tą koncepcją, ze względu m.in. na niebezpieczeństwo formułowania wieloznacznych wypowiedzi, rozstrzygnięcia pozornych problemów, prowadzenia jałowych sporów wokół nich, rezultaty których, rodząc niepotrzebne konflikty, bywają groźne, należałoby usunąć z języka ogólniki i zastąpić je nazwami konkretnych przedmiotów. Koncepcja wzbudziła poruszenie, toczyły się na jej temat uczone dyskusje, nie pozbawione krytyki, a Kotarbiński od skrajnej wersji programu semantyki reistycznej przechodził stopniowo do coraz bardziej liberalnej. Niezależnie bowiem od błędów jakie popełnia się dokonując uogólnień nie sposób zrezygnować z nich ani w nauce ani w życiu codziennym, nie ma możliwości rezygnacji z tzw. wnioskowania indukcyjnego, które polega na tym, że na podstawie niektórych

poznanych elementów wnioskujemy i wypowiadamy się o wszystkich, także tych, których nigdy nie poznaliśmy i nie poznamy.

Inaczej nie moglibyśmy wykonać większości działań życiowych i większości operacji naukowych – jak zauważa prof. Narcyz Łubnicki.

Ani w życiu codziennym, ani w nauce nie ma możliwości poznania wszystkich, na przestrzeni czasów i miejsc egzemplarzy danego rodzaju, o którym chcemy wypowiedzieć jakiś sąd. Aczkolwiek nigdy do końca nie można wykluczyć możliwości napotkania faktu przeczącemu przyjętemu uogólnieniu, to jednak w nauce, w celu redukcji błędu do minimum, wypracowano metody zwiększające prawdopodobieństwo prawdziwości sądów ogólnych,

W życiu codziennym pozostaje postępować zgodnie z tytułem jednego z rozdziałów książki prof. Narcyza Łubnickiego: *Uogólniaj, ale rozsądnie!* (w: „*Nauka poprawnego myślenia*”).

O ile w nauce (a także np. w przepisach prawnych) pojęcia używane są dokładnie precyzowane i definiowane, o tyle w życiu codziennym, zarówno prywatnym jak i niestety w społecznym, publicznym tak na ogół nie dzieje się. Używa się ogromnej ilości ogólników, abstraktów – społeczeństwo, człowiek, ludzkość, młode pokolenie, kobiety, mężczyźni, emeryci, inwalidzi, a zatem dobro społeczne, dobro ludzkości (i tak można w nieskończoność wymieniać pojęcia – klucze) przy założeniu, że wszyscy wiedzą o co chodzi. Tadeusz Kotarbiński niejednokrotnie w swych wypowiedziach ukazywał wagę i znaczenie kultury logicznej, choćby elementarnej, polegającej na sprecyzowaniu co konkretnie jest przedmiotem dyskusji, polemiki i wypowiedzi twierdzeń.

Czasami jednak ma się wrażenie, że operowanie tymi bliżej nieokreślonymi abstraktami nie jest wynikiem jedynie braku kultury logicznej, choć i to niewątpliwie też ma miejsce. Są jednak i inne powody, które można by określić jako strategiczne.

Takie bezkształtne, niesprecyzowane pojęcie ogólne pozwala na przypisywanie mu cech takich, jakie będą lepszym argumentem dla założonej tezy, które będą odpowiedniejsze do wykazania słuszności racji danego dyskutanta. W ten sposób

abstrakty, nadal mogą służyć jako arsenał dla przeciągnięcia zwycięstwa na którąś ze stron, która lepiej umie je „zabarwić” pożądanymi w danej sytuacji cechami, które lepiej mogą

służyć wykazaniu własnej słuszności i przy założeniu, że interlokutorzy nie będą umieli wychwycić i unieszkodliwić w dyskusji takiego manewru.

Autor tekstu jest doktorantem filozofii, tłumaczką, od wielu lat współpracuje z „Res Humana”.

Janina ŁAGODA

Katyń Smoleńskiem spięty

Katyń 1940 roku i Smoleńsk 2010 roku – dwie tragiczne ikony w naszej historiografii. Zbieg okoliczności spowodował, że dzisiaj te fakty stały się sobie bliskie. Katyń uosabia śmierć około 22 tys. polskich jeńców wojennych straconych i pogrzebanych w tamtych i innych okolicach. Smoleńsk zaś przywołuje pamięć 96 ofiar katastrofy lotniczej polskiego samolotu, który się rozbił w obszarze miejscowego lotniska. Leciały nim prominentne osoby, a wśród nich Prezydent RP, aby oddać hołd tamtym poległym. Byli tak blisko.

Mamy rok 2014, a obydwa zdarzenia z równą intensywnością zaprzatają nasze umysły, i to nie dlatego, że w ciągłości, bez chwili wytchnienia, okazujemy współczucie, ubolewamy, rozdzieramy szaty w bezradności wobec ślepych wyroków, ale ponieważ stanowią użyteczny surowiec dla uprawiania polityki wewnętrznej i zagranicznej, ze szczególnym akcentowaniem tej wschodniej. Tworzywo to szlachetne, bo kumuluje w sobie wszystko, co dla życia potrzebuje nasza politykierska dusza. Nie jest ona wymagająca, nie ma wygórowanych ambicji, bo najważniejsza dla niej jest bezpamiętna wrzaskliwość, a dopiero – i to w znacznej odległości – refleksja. Odczuwamy jakiś niewytłumaczalny wstręt do wcześniejszego zastanawiania się nad ewentualnymi skutkami tego, co dziś mówimy, czynimy. Analiza to mało efektowne zajęcie, kiedy przyczyny popełnionych błędów możemy przecież z powodzeniem objaśniać w świetle jupiterów. Przecież w tym wszystkim idzie o bycie w

mediach, a nie o dobro publiczne. Do kamery zaś – przy naszych standardach – każda droga jest uświęcona.

Wielka Izba Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu położyła kres formalnoprawnym zawilościom, jakie dotąd piętrzyły się w sprawie Katynia. Ale czy ogłoszony wydykt (21.10.2013 r.) będzie miał jakiegokolwiek znaczenie dla racjonalnego ważenia tej zbrodni na tle innych równie tragicznych zdarzeń podczas okupacyjnej nocy? Chyba nikłe, bo wielu to orzeczenie ocenia, w najłagodniejszym pojęciu, jako skandaliczne, a Trybunałowi zarzuca się, że nie spełnił naszych oczekiwań. I nie są to wcale odosobnione opinie rodaków. Przeciwnie, powszechne są zapowiedzi, że – mimo zamkniętej drogi prawnej – *będziemy domagać się rzetelnego postępowania i prawnej rehabilitacji pomordowanych oraz odtajnienia decyzji o umorzeniu rosyjskiego śledztwa z 2004 roku.* Zainteresowani mają pretensje przede wszystkim o to, że nie mogą liczyć na odszkodowania, a w tym przypadku racja przecież musi być po naszej stronie. Tak więc, jak można przypuszczać, boleść ustępuje miejsca mamonie. Merkantylnie myślenie nie zawsze jest zajęciem szlachetnym. Warto też w tym miejscu przypomnieć, że podczas II wojny światowej zginęło około 5,6 miliona polskich obywateli, w tym około 160 tys. żołnierzy. Nie o pamięć wszystkich poległych tak zabiegamy, no może jeszcze do tej listy troskliwości dałoby się dopisać powstańców warszawskich, bo z cywilnymi ofiarami tego kontrowersyjnego zrywu jest już problem.

Okazuje się więc, że żywych nie stać na wyważenie właściwych proporcji w uznawaniu zasług poległych w walce o wolność. Trudno się temu dziwić, jeśli wybiórcze kryteria szacunku dla śmierci stosują najważniejsze osoby w państwie. Dzisiaj niektóre bitewne pola *leżą odłogi*, jak chociażby to pod Lenino. Rządzących nie stać było na to, aby oddać hołd żołnierzom Wojska Polskiego poległym tam 70. lat temu. Uczyniła to dopiero – w ostatnim rzucie – lewicowa opozycja. Prezydent i premier, jako historycy z wykształcenia, a przede wszystkim piastujący najważniejsze urzędy w państwie, są nam zatem winni interpretacji takiego zaniechania. Czyżby ich polityczną wyobraźnię przysłonili wyłącznie żołnierze wyklęci i tzw. konspiratorzy lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku?

Smoleńska katastrofa, która stała się geograficznie, ale i emocjonalnie tak bliska Katyńowi, w krótkim czasie dożyła obdarzenia z racjonalnych proporcji. Wyjaśnianie jej przyczyn doprowadziło do jarmarcznych przetargów. Po chwilowej duchowej wspólnotcie dusz, dalsze przeżywanie tego zdarzenia zostało brutalnie wpisane w przestrzeń publiczną, również z poręki niektórych bliskich tych, którzy zginęli. I nie idzie tutaj o to, aby obojętnie spoglądać na ten wypadek, bo chyba nie ma rodaka, który by nie współczuł ofiarom, ale o wprzęgnięcie tego zdarzenia w reguły politycznych przetargów, łącznie z próbami traktowania go jako *drugiego Katynia*. Posiłkowanie się pojęciami: zdrada, morderstwo, zamach etc. stało się normą, ale dowodów brak.

Okoliczności zarówno mordu katyńskiego, jak i katastrofy smoleńskiej – w odbiorze społecznym – zostały w wystarczającym stopniu wyjaśnione, a za Katyń wielokrotnie nas przepraszano i wyrażano ubolewanie. Mimo tego nadal publicznie roztrząsamy hipotetyczne szczegóły związane z tymi wydarzeniami, popadając w nieobliczalne zwarcia. Nie stać nas na to, aby zaufać fachowcom z prawdziwego zdarzenia, a zaszczyty odległe w czasie powierzyć analizie historykom, ale nie IPN-owskim. Jest to raczej sfera pobożnych życzeń, bo jakich argumentów należałoby użyć wobec przewodniczącego sejmowego zespołu badającego wypadek smoleński, czy osób uważających

wyrok Trybunału za *będący po myśli Moskwy*, aby wyzbyli się zaciętrzewienia i zaczęli szanować fakty, a nie fantazję? Może co niektórym jaźń opanowała nadarzająca się okazja, aby po czterystu latach ponownie zaatakować Smoleńsk i Moskwę; przecież za nami Unia Europejska i NATO, nie wspominając o naszej ciągle *doskonalonej* kosztownej armii. Skutki tej ewentualnej *ofensywy* w dzisiejszym wydaniu łatwo sobie uzmysłowić. Potrafimy nieracjonalnie mitologizować przeszłość i snuć utopijne wizje przyszłości, zamiast tworzyć pomosty, głównie gospodarcze pomiędzy Wschodem a Zachodem. Wolimy konstruować słomiane zapory, popadać w egzotyczne sojusze, a wszystko po to, aby móc obserwować i zarazem oburzać się na skuteczną współpracę sąsiadów ponad naszymi głowami.

Obydwa zdarzenia: Katyń i Smoleńsk rozpatrujemy w mgławicy niewyobraźalnych emocji spowitych cynizmem. Sprawców tych nieszczęść staramy się szukać daleko od naszych granic. Na chwilę nie dopuszczamy myśli, że w prokurowaniu warunków ich zaistnienia mogliśmy mieć także swój udział. Z własnej woli skaczemy w przepaść, ale pretensje o tę nierozwagę mamy do innych.

W pierwszym przypadku prysnął sen o przedwojennej potędze i skuteczności uprawianej polityki zagranicznej. Stąd błyskawiczna klęska, niewola, tragedie ludzi etc., ale i późniejsza utopijna strategia zwaśnionej emigracyjnej władzy, co nie pozostawało również obojętne dla przyczyn katyńskiej tragedii. Reszty dopełnili *zwycięzcy*. Administrowanie państwem bez państwa, graniczy z fikcją, a tak się stało po wrześniowej wyrafinowanej rejteradzie rządzących z kraju. Wówczas egoizm przyćmił elementarne poczucie patriotyzmu. Dalej, to już niesuwerenne, bo pod alianckimi rozkazami *władztwo*. Inaczej być nie mogło. Sublokatorstwo wiąże się z opłatami, a w tym przypadku dodatkowo z politycznymi zależnościami. Literatura tego tycząca jest ogromna.

W drugim przypadku również unikamy, jak ognia, sięgania po własne źródła przyczyn katastrofy, a – wedle dzisiejszej wiedzy – starczyłoby ich na kilka podobnych zdarzeń. Organizacja lotu, warunki pogodowe, decyzja o lądowaniu itp., to tylko niektóre

syntetyczne przyczyny upadku. A ponadto skupienie w jednym, tak niestabilnym miejscu (samolot) tylu eminentnych osób, spośród których wielu miało mniej lub bardziej bezpośredni wpływ na bezpieczeństwo lotu, nie stanowiło dowodu na roztropność rządzących. Takich myśli jednak nie dopuszczamy. Winą więc staramy się obciążać stronę przyjmującą samolot, a przede wszystkim nieszczęsną brzozę, którą zdaje się kiedyś posadzono po to, aby dzisiaj mógł wokół niej wyczyniać hołubce przewodniczący parlamentarnego zespołu *badającego* ten wypadek. Przecież to biedne drzewo było bezradne wobec dołującego olbrzyma. Nie mogło mu już ani pomóc, ani zaszkodzić, ale dostarczyło fabuły do snucia fantazyjnych opowieści, i co smutne, także przez tzw. ekspertów z tytułami naukowymi.

Analogii między tymi zdarzeniami jest sporo i wszystkie mieszczą się w naszym sposobie uprawiania politykierstwa, bo dyplomacji tutaj brak. Nie pomagają w tym również niektórzy bliscy ofiar, wśród których wielu jest wierzących, a to do czegoś zobowiązuje. Wprawdzie ich zachowania można wytłumaczyć, usprawiedliwić, ale tylko w ograniczonym stopniu.

Autorka artykułu jest historykiem i publicystką; stale współpracuje z „Res Humana”.

Trudno przykładowo zrozumieć pretensje o to, że identyfikacja *kompletności* szczątków przy takiej *hekatombie* nie zawsze była ostateczna. Dotąd przecież jeszcze identyfikujemy ofiary zbrodni katyńskiej, jeśli można posłużyć się takim porównaniem. Rozdrapywanie ran nie jest rozsądnym sposobem leczenia narodowych kompleksów.

Zagęszczona atmosfera wokół tych wydarzeń i ich międzynarodowe implikacje, a także koszty prowadzonych batalii, winny spotkać się z racjonalną reakcją rządzących. Nie chodzi tutaj bynajmniej o ograniczanie praw wolności, transparentności, wprowadzania reżimów finansowych itp., ale o zakreślenie bezpiecznych ram dyskusji i ochronienie reszty społeczeństwa przed psychicznym terrorem. A to już obowiązek instytucji państwa. Wolność, to nie to samo, co anarchia, warcholstwo etc. Już dawno mogli się w tym wykazać zarówno prezydent jak i premier, ale wolą deptać w miejscu, bo jest to, w ich przekonaniu, dobre dla słupków poparcia. Gorzej zaś z polityczną higieną. Istnieją jednak granice, które wyznaczają polską rację stanu, chyba że zapatrzyliliśmy się w dzieje naszej ojczyzny w XVIII wieku.

Kto się boi Jerzego Owsiaaka?

Dokończenie ze s. 6

Ale są i „advokaci” DOBREJ SPRAWY: to środowisko polskich lekarzy. „Wiemy doskonale, jak wiele zrobiliście, wiedzą to doskonale rodzice naszych pacjentów, widząc wszędzie w szpitalach dziecięcych serduszka Fundacji – napisał w liście otwartym wybitny transplantolog, krajowy konsultant ds. chirurgii dziecięcej prof. Piotr Kaliciński. „Ludzie, którzy to podważają, nie mają pojęcia, o czym mówią, żyją wyłącznie w kategoriach zawiści, nienawiści do wszystkiego, co pozytywne, bo nie rozumieją, że można robić coś dobrego, wkładać w to całe serce i cieszyć się tym po prostu... Nie dawajcie żadnej satysfakcji tym, którzy potrafią tylko krytykować i siać nienawiść, nie odpuszczajcie”. I zachęcał, aby razem z żoną „trzymały wysoko podniesioną głowę ponad poziom niskich pobudek i oszczerstw”.

Z tła tych wszystkich oszczerstw, postawmy kropkę na i, wyłania się wykrzywiona twarz PiS, ich złość, że Owsiaak coś krytycznego o nich powiedział i w ogóle, że nie jest po ich stronie; wyłania się z mediów tej partii, z łamów „Gazety polskiej” czy TV Republika zawiść, że oto jest ktoś, kto o niebo przewyższa ich poziom.

To, że Polska jest dziś wielorako podzielona, a to końcowa konstatacja, widać nie od dziś. Źle, bardzo źle, że podział ten rozszarpuje to, co powinno być wspólną wartością wszystkich: ludzkie zdrowie i życie. To dobro, powtórzmy, które współtworzy dzieło Jerzego Owsiaaka. Dziękujemy mu za to serdecznie.

Wacława MIELEWCZYK

ŚWIADECTWA



Jan SZMYD

Odczytywanie Boga i nie tylko

Czymże są *Rozmowy o Bogu i człowieku*, które oznajmia tytuł prezentowanej tu książki dwóch dobrze znanych Czytelnikowi Autorów? Z całą pewnością i bez cienia wątpliwości da się powiedzieć, że są czymś bezspornie ważnym i aktualnym, pouczającym i czytelniczco wzbogacającym, rzecz nawet można,

że są czymś wyjątkowym i jedynym w swoim rodzaju wydarzeniem w publicznym dyskursie naukowym i humanistycznym w naszym kraju – jeśli założyć, że taki dyskurs jeszcze istnieje. Nie są natomiast tym, co zazwyczaj kojarzy się z dysputą o Bogu i podległym mu człowieku „uczonych w piśmie”: biblistów, teologów, kaznodziejów czy spekulatywnych filozofów. To znaczy, że nie są one ani wysoce specjalistycznymi, językowo hermetycznymi, a w „mądrości” swej zadufanymi „roztrząsaniami” istoty i przymiotów Boga, jego mocy stwórczej, planów i intencji wobec świata i człowieka itp., ani też nie są Jego apologią i misyjną rekomendacją. Są natomiast rozważaniami dwóch wybitnych intelektualistów i humanistów współczesnych o odmiennym rodowodzie społecznym i różnicy pokoleniowej: Zygmunta Baumana i Stanisława Obirka. Są **gruntownymi rozważaniami, wspartymi koncepcjami i ideałami najnowszej i najbardziej znaczącej literatury przedmiotu, o tym, co mówiąć ogólnie i w przenośni, ludzie współcześni „robią” z Bogiem (bogami), jak się Nimi „posługują”, a nawet jak Nimi „manipulują”**. I też o tym – i pewnie przede wszystkim – co wynika dla „świata ludzkiego”, lub wynikać może, z tej współczesnej, aktualnie i potencjalnie niebezpiecznej instrumentalizacji Boga i interesownego jego zawłaszczenia i wykorzystania.

Niepokojące i nasilające się przejawy owej postawy dostrzegają rozmówcy w specyficznej samowiedzy autożsamości największych religii monoteistycznych (judaizmu, chrześcijaństwa i mahometanizmu), w ich stosunku do „właściwych” bogów, uznanych za „jedynych” oraz w ich odniesieniach, coraz bardziej niechętnych a nawet wrogich, do innych religii i innych bogów, uznawanych nie tylko za „cudze” i „nieprawdziwe”, ale nierzadko także za nieautentyczne. I nie jest to przypadłość tylko incydentalna czy przemijająca owych monoteizmów, ale ich jak gdyby „przyrodzona” atrybutywna cecha, bo – jak twierdzą Autorzy książki – monoteizm, każdy monoteizm, z istoty swej zasadza się na „wyłącznej racji”, i „jedyniej prawdzie”, co dość często prowadzi – w każdym czasie historycznym i w każdych warunkach społeczno-kulturowych – do różnych, bardziej lub mniej wojowniczych i agresywnych postaw, do fundamentalizmu czy mesjanizmu religijnego. Zatem daje się stwierdzić, iż „(...) monoteizm z natury swej ma strukturę agonistyczną – z walki czerpie nie tylko rację swego istnienia, ale i siłę ... Prawdziwy problem wyznawców religii monoteistycznych – czytamy – polega na tym, że z jednej strony noszą różnice (wszyscy wierzący w „mojego Boga” stają się moimi

braćmi i siostrami), ale z drugiej strony wznoszą nowe mury. I to mury właściwie niemożliwe do skruszenia. Skoro posiadam tę jedną jedyną prawdę, to po co dalej szukać – teraz należy po prostu głosić ją innym, a jeśli nadarzy się okazja, to i przymusić, by w nią uwierzyli. Posiadanie prawdy jest tak dojmujące, że wybudowane wokół niej mury mogą być tylko mocniejsze, wyższe i wręcz nie do zdobycia. Dialog i spotkanie stają się nie tylko niepotrzebne, ale wręcz zbędne i zkłócają błogość posiadanej prawdy. Jedyne, co pozostaje, to konwersja, otwarcie oczu, a w przypadkach skrajnych wykluczenie i śmierć adwersarza religijnego.”(s. 40, 41).

Nic by może złego z tego nie było, gdyby ta charakterystyczna i negatywna tendencja religii monoteistycznych była jedynie niechwalebny reliktem ich bogatej tradycji a we współczesności skutecznie pohamowaną praktyką i skłonnością. Tak jednak nie jest. Jest natomiast tak, co gołym okiem widać, a nawet osobiście doświadczyć można, dowodów i przykładów na to nie brakuje, że bardzo wyraźnie, a bywa że i brutalnie, ujawnia się ona we współczesnych międzyreligijnych i międzykulturowych relacjach. Co więcej, wiele faktów wskazuje na to, że w czasach „płynnej nowoczesności” i cywilizacji naukowo-technicznej, ta niedobra praktyka i tendencja zdaje się niebezpiecznie ożywiać i przybierać na sile, powodując duże napięcia i konflikty w aktualnym życiu religijnym, a nawet staje się zarzewiem jawnych bądź ukrytych współczesnych wojen i „zderzeń” religijnych, walnie wspomagających, szeroko opisywane, współczesne „wojny” i „zderzenia” kultur. I to właśnie martwi, czemu nie trudno się dziwić, naszych Autorów. Zapewne martwi też i Czytelnika ich książki, dla którego sytuacja ta jest wręcz „nie do wiary”, niezrozumiała, i wysoce niepokojąca. Stąd pilnie śledzi dogłębne jej wyjaśnienia przeprowadzone w książce i solidaryzuje się z dążnością jej Autorów do znalezienia jakiegoś rozwiązania i pożądanego remedium czy chociażby jakichś choćby częściowo skutecznych sposobów osłabienia symptomów tej groźnej i nasilającej się „choroby” religijnej i ideowej.

Sprawa jest jednak bardzo trudna, jeśli nie beznadziejna. Według Autorów pozostaje jednak nadzieja. Nic to, że jedynie ona. Z. Bauman wyznaje: „(...) nie umiem pozbyć się przypuszczenia, że nadzieja jest nieśmiertelna, i że podobnie jak Bóg może umrzeć tylko wraz z ludzkością” (s. 76). Jeśli jednak pozostaje – „póki my żyjemy” – owa nadzieja, to przychodzi nam się wzmagać ze starą i historycznie boleśnie udokumentowaną przeszkodą, polegającą na tym, że z natury rzeczy tkwiący w religiach potencjał walki i „syndrom mesjasza” (obok, oczywiście, potencjału pokoju i miłości), na ogół uniemożliwia, a w każdym razie utrudnia pokojowe współlistnienie różnych wierzeń i wyznań religijnych. Utrudnia a nawet uniemożliwia partnerskie, twórcze współdziałanie wyznawców „jedyne” Boga i „jedynej” prawdy z innowiercami i wyznawcami „innych” prawd. Nie pozwala albo poważnie utrudnia dobroczynne i jakże pożądane godzenie monoteizmu z politeizmem – w różnorodnych postaciach tych dwóch wielkich struktur i orientacji religijnych. Nie pozwala albo nazbyt utrudnia to, za czym Autorzy omawianej tu książki gorąco optują, a mianowicie, by skłócone Kościoły i ich kongregacje były zdolne do przyjęcia humanitarnej zasady współżycia w „nieuleczalnie politeistycznym świecie”; zasady w brzmieniu – „(...) z przekonania, iż Bóg jest jeden, nie wynika iżby nie wolno Go sobie wyobrażać na różne sposoby i na różne sposoby czcić” (s. 177). „Wszak każdy ma (...) prawo do posiadania swego Boga, byle by prawo jednych nie uszczuplało prawa drugich, ani odmówienia im czy pozbawienia ich tego prawa nie wymagało.” (s. 37). Trudno się nie zgodzić z przekonaniem głównego Autora książki, „(...) że przyswojenie sobie przez nie (monoteizmy współczesne – p. m. – J. Sz.) owej zasady przysporzy czczonemu przez nich Bogu glorii i mocy, zamiast, jak to się dzieje obecnie, czynić go przedmiotem przetargów i wolnoamerykańskich zapasów” (s. 177).

Druga, nietradycyjna już i nie „genetycznie” religijna przeszkoda o którą ostro potyka się współczesny politeizm i polifolizm tkwi, jeśli można tak powiedzieć, w charakterze naszej epoki: w jej „płynności” i „chylbotliwości”, przyspieszonej zmienności i nasilającej się relatywności zasad i wartości, w dotkliwym braku poczucia pewności i stabilności, bezpieczeństwa i jasności jutra, pewnych punktów oparcia i nieomylnych drogowskazów, niedostatku solidarności i wspólnotowości. **Taka sytuacja, wewnętrzna i zewnętrzna, z natury rzeczy stymuluje**

psychiczne i społeczne mechanizmy „ucieczki od wolności” i samodzielności postaw, od swobody religijnej i niezależności światopoglądowej itp., a silnie popycha w stronę różnych form uzależnienia i podporządkowania, w tym do fundamentalizmu religijnego i świeckiego. Sprzyja zasklepianiu się w wąskich horyzontach umysłowych, otumanianiu i oglupianiu człowieka. Paradoksalnie, ma miejsce stale poszerzanie i pogłębianie się tego stanu rzeczy w miarę rozwoju nauk technicznych i informatycznych, „społeczeństwa informacyjnego” i „społeczeństwa wiedzy”. Taka epoka i takie społeczeństwo stanowią, jak nigdy, szczególnie żyzne podglebie dla różnorakiego fundamentalizmu myślowego, zaciemnienia i usztywnienia mentalnego, fanatyzmu i dążenia, często krzykliwego i agresywnego, do „jedyniej” prawdy i wyłącznej racji. „(...) nigdy dotąd – czytamy w omawianej książce – poczucie zabłąkania, osamotnienia i groźby porzucenia czy banicji nie było tak silne, a wynikająca zeń nostalgia za „przedniepewnościowym”, mniej chybotliwym światem tak przemożna: nigdy pokusa „dobrowolnego zniewolenia” nie była tak trudna do odparcia jak dziś. (...) Gleba (...) jest dla fundamentalizmów świeckiego i religijnego jednaka – tęsknota człowieka za wskazówkami, za pewnikami, których w sobie nie znajduje i dlatego z takim utęsknieniem wypatruje rozwiązań, mistrzów i autorytetów” (s. 54, 55).

Świat, który staje się coraz mniej gościnnie i przyjazny, solidarny i wspólnotowy a coraz bardziej obcy i nieprzychylny, podejrzliwy i konkurencyjny, niepewny i niebezpieczny, niestały i niestabilny, odpersonifikowany i odhumanizowany, „mechaniczny” i pragmatyczno-funkcjonalny, sprawia, że życie ludzkie sytuuje się na grząskim gruncie czy na ruchomych piaskach. Rodzi to – pisze jeden z Autorów książki „(...) na co dzień i w masowej skali tęsknotę za wielkim uproszczeniem mapy i w skale rytmami drogowskazami. Za smyczą, kagańcem, pętami – i wodzem, który pozwoli przypisać sobie nieomylną, uwalniając w ten sposób swych wyznawców od nieznośnego brzemienia osobistej odpowiedzialności” (s. 53, 54).

Ale taki swoisty, w istocie niebezpieczny i złowrogi świat, staje się żyzną glebą nie tylko dla różnego rodzaju monoteizmów i fundamentalizmów, ideologii teokratycznych i autokratycznych lecz czyni szkody jeszcze większe – jest to twierdzenie, które autorzy omawianej książki nie wyrażają *expressis verbis*, ale prawdopodobnie je podzielają; szkody w swej destrukcyjności głębiej sięgające w struktury psychiczne i społeczne, a więc w pewnym sensie „organiczne” i w długofalowych swych skutkach bardzo groźne i niepokojące, w pewnej mierze wręcz dramatyczne.

Chodzi mianowicie o cywilizacyjnie określane, ewidentnie niekorzystne i coraz większe obawy wzbudzające, zmiany w duchowości ludzkiej, w ogólnie pojętej kondycji ludzkiej (*conditio humana*), w człowieczeństwie. W tych najbardziej istotnych sferach tożsamości i aktywności ludzkiej, wyróżnienia i legitymacji gatunkowej *homo sapiens* zachodzą w erze technicznej i „płynnej nowoczesności” istotne, na ogół negatywne i prawdopodobnie nieodwracalne zmiany strukturalne; zmiany – śmiem twierdzić – o wiele bardziej znaczące dla człowieka i jego jakości życia i o wiele bardziej odciskające na jego istocie i naturze, oraz o wiele bardziej rzutujące na jego teraźniejsze i przyszłe „życie – w – świecie”, aniżeli wnikliwie i z dużą humanistyczną troską omówione w książce „zderzenie” współczesnych monoteizmów i konflikty wiar religijnych.

Wyjaśnijmy więc, że chodzi o zasadnicze zmiany mentalne, osobowościowe i zachowaniowe, które w istotnej mierze przekształcają naturę ludzką i człowieczeństwo, w wielu przypadkach je ewidentnie zubożając i symplifikując, które sprawiają, że człowiek coraz widoczniej odbiega od wizerunku „jakiego znamy”, od utrwalonego modelu kulturowego i antropologicznego, a staje się jakimś takim „nie znany” i „na nowo poznajemy” – często ku naszemu zaskoczeniu i niezadowoleniu. Jest to człowiek zbyt „ztechnizowany”, jednostronnie funkcjonalno-praktyczny, duchowo i emocjonalnie zubożony, moralnie i aksjologicznie zdezorientowany, w rozumieniu świata i samego siebie często bezradny i zagubiony, na ogół pozbawiony potrzeb transcendentnych i metafizycznych a owładnięty niemal bez reszty sztucznymi i interesownie kreowanymi i stale rosnącymi potrze-

bami konsumpcyjnymi. **Człowiek, który coraz dalej „wdziera” się w Kosmos, ale coraz mniej go rozumie; który stwarza „cuda techniki”, ale coraz bardziej i niewolniczo się im podporządkowuje. Wpada w ich sidła i władanie.** Ta super-alienacja technologiczna zapowiada „super-zagrożenie” dla człowieka jako gatunku biologicznego, ukazuje w swej perspektywie daleko idące, bądź nawet całkowite jego jakościowe „przeinaczenie” – przeinaczenie w „post-człowieka” czy „hiperczłowieka”.

Na obecnym etapie drogi rozwojowej istoty ludzkiej; drogi rozpatrywanej przede wszystkim od klasycznego etapu rozwojowego, tzn. od czasu we względnej pełni i harmonii wewnętrznej ukształtowanego człowieka w okresie rozkwitu kultury antycznej, tzn. „człowieka ateńskiego”, poprzez człowieka „nowoczesnego” i „ponowoczesnego” aż do „post-człowieka” czy „hiperczłowieka”, pojawia się syndrom istotnych zmian regresywnych, ewolucyjnie wstecznych, symplikujących i w znacznej mierze destrukcyjnych. **Zmian, które nazwać można mianem regresji antropologicznej.** Ten kierunek zmian spychających człowieka „w dół”, wstecz, na niższe etapy, a które w przybliżeniu można określać też jako „regres człowieczeństwa”, „homodestrukcję”, polega, z grubsza rzecz biorąc, na tym że **człowiek współczesny w wyniku zakłócenia swego procesu ewolucyjnego, m.in. pod wpływem rewolucyjnego postępu technologicznego i informatycznego oraz społecznych konsekwencji schyłkowego, neoliberalnego systemu ekonomicznego (wybujały konsumpcjonizm i komercjalizm, totalna technizacja i mechanizacja oraz pragmatyzacja życia itp.), popada, w znacznym przyspieszeniu, w nieharmonijny i nierównomierny tok rozwoju swych naturalnych skłonności i predyspozycji, pogrąża się w ewolucyjne „rozdarcie” a nawet w pewną antynomię rozwojową oraz w niebezpieczne dla jego zrównoważonego rozwoju zahamowania i cofnięcia ewolucyjne.** Stan ten oznacza głęboką deformację całościowo i harmonijnie pojętej istoty ludzkiej. Ścisłej rzecz ujmując – oznacza postępujący rozpad „koherencji życia wewnętrznego” człowieka, tzn. narastającą rozpiętość między tempem rozwoju intelektualnego, racjonalno-pojęciowego a rozwojem emocjonalnym i duchowym.

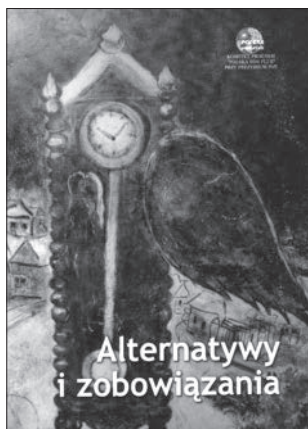
Nadto oznacza on niebezpieczną rozwartość między zastojem a nawet regresem głębszej duchowości człowieka a szybkim tempem rozwoju jego umiejętności funkcjonalno-technicznych; między pragmatyzmem życiowym a sferą doświadczeń i przeżyć wyższych wartości oraz żywotności duchowej transcendencji: metafizycznej, religijnej, estetycznej. Niektórzy nazywają to – i nie bez pewnej racji – „psuciem”, a nawet w pewnym sensie „upadkiem” człowieka, a w każdym razie regresem człowieczeństwa.

Tego zagadnienia autorzy omawianej tu książki w zasadzie nie podejmują w swych rozważaniach, skoncentrowali się – o czym napisano wyżej – na innym, też istotnym i aktualnym zagadnieniu i opisali go bardzo oryginalnie i kompetentnie. **Podnoszę jednak to zagadnienie na tym miejscu w przeświadczeniu o jego ścisłym związku z tematem interesującej nas tu książki. Bo ani Boga ludzi współczesnych, czy to tego doktrynalnie i ortodoksyjnie obrazowanego i fundamentalistycznie strzeżonego i bronionego – w takim czy innym instytucjonalny monizmie religijnym – czy to Boga „własnego”, osobiście doświadczanego, do którego – jak dowodnie wykazują to Autorzy – coraz więcej ludzi się obecnie skłania, nie można, jak sądzę, dogłębnie i trafnie odczytywać pomijając rozległy i złożony kontekst procesu gruntownych i przyspieszonych przemian natury i kondycji człowieka współczesnego, w tym przemian przynależnych do zjawiska tzw. regresji antropologicznej.** Inaczej wiele hipotez o jego genezie, istnieniu, żywotności, funkcjach (społecznych i psychologicznych) czy nawet o jego „śmierci”, pozostaje poznać ułomnych, niedokończonych, szkicowych i hipotetycznych. A tym bardziej nie można dopracować się adekwatnego wizerunku człowieka epoki płynnej nowoczesności; człowieka rozpatrywanego w relacji z takim czy innym Bogiem (doktrynalnym lub osobistym) czy poza tą relacją, w oderwaniu od rzeczowego kontekstu fundamentalnych zmian antropologicznych, którym ów człowiek bardziej lub mniej, ale jednak znacząco obecnie podlega w różnych miejscach globalizującego i zasadniczo zmieniającego się „świata ludzkiego”.

I przy pisaniu tych słów trudno uwolnić mi się od może zbyt śmiałej i niestosownej pokusy – proszę o wyrozumiałość i wybaczenie. Pokusy – zachęcenia Autorów *Rozmów o Bogu i człowieku* do rozważenia możliwości uwzględnienia w jakiejś mierze tego problemu w ich następnej wspólnej książce, której napisania nie wykluczają w słowie końcowym książki, w obiecującym sformułowaniu „Bez zakończenia”; być może – nie wykluczają ku zadowoleniu oraz ufnemu oczekiwaniu wielu Czytelników obecnej książki.

Zygmunt Bauman, Stanisław Obirek: *O Bogu i człowieku rozmowy*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2013.

Autorem tekstu jest profesor filozofii, przez wiele lat związany z Uniwersytetem Pedagogicznym im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie; autor wielu ważnych książek i artykułów drukowanych także w „Res Humana”.



Wacława MIELEWCZYK

Między akceptacją a sprzeciwem

Ta książka zrodziła się najpierw z ujmującej pamięci o Profesorze Bogdanie Suchodolskim, z którego dziedzictwa myśli powstał później Zespół Edukacji i Kultury w ramach Komitetu Prognoz „Polska 2000 PLUS” przy Prezydium Polskiej Akademii Nauk, zespół intelektualistów, którzy skupieni wokół profesor Ireny Wojnar, podjął organizację spotkań, utrwalanych kolejnymi tomami studiów budzących szacunek i podziw.

Było takich spotkań siedemnaście, a tom, który czynimy przedmiotem naszej uwagi, to dziesiąty z rzędu, i jak wszystkie dotychczasowe wydaje się być jakby biblioteką, bo wylania się z niego rozległa panorama kwestii i problemów, godnych wielu tomów, tu jednak zapisanych w ścieśnionych skrótach przez znanych autorów z renomowanych ośrodków akademickich. Ich ideą przewodnią stał się namysł nad problematyką losów człowieka w świecie współczesnym, w świecie coraz bardziej nieprzejrzystym i niestabilnym, kwestionującym trwale dotąd wartości i ich hierarchie, świecie zagubienia człowieka przerażonego nieograniczonym horyzontem wolności. Stąd u początku spotkań refleksja ich uczestników skupiała się na afirmacji wartości i realnych możliwościach ich ocalenia w warunkach klęski i zagrożenia człowieka, na analizie podejmowanych prób sprzeciwu wobec tych zagrożeń a więc zanegowania rzeczywistości istniejącej i wreszcie na poszukiwaniu sposobów wyzwiania w człowieku sił twórczych zdolnych do przezwyciężenia chaosu rzeczywistości.

Wszystkie te myśli przewodnie były konkretyzowane i rozwijane na kolejnych spotkaniach Zespołu, także na dwóch ostatnich konferencjach z 2010 i 2011 roku w Mądralinie, tych spotkaniach, których dorobek znajduje wyraz w tomie najnowszym opracowanym pod kierunkiem prof. I. Wojnar. Jako redaktor książki jest więc nieocenionym po niej przewodnikiem. „Nadaliliśmy jej tytuł ALTERNATYWY I ZOBOWIĄZANIA – czytamy we Wstępie redaktora książki – którego dwa ogniwa trafnie chyba oddają intencje naszych przemysleń i opracowań. Alternatywy odnoszą się zarówno do postaw ludzkich jak i do wizji niestabilnego świata; zobowiązania wyznaczają wiele ważnych i uwidacznianych w naszych dyskusjach obszarów troski.

Są to oczywiście zobowiązania w zakresie szeroko rozumianej edukacji, ale także i zobowiązania w dziedzinie oglądu świata, namysłu nad różnymi jego obszarami nie dla wszystkich przecież w sposób oczywisty związane z edukacją”.

Te dwa słowa, alternatywy i zobowiązania, określają też treść trzech części tomu, na które składają się teksty 21 autorów. Najpierw zapoznajemy się z tyle złożoną, co przedstawioną przejrzysto ogólną charakterystyką stylów i strategii życia poprzedzoną wszakże ogólniejszym studium prof. Czesława Banacha zatytułowanym *Adaptacja-konieczność, szansa, zagrożenia*, w którym ten ceniony badacz problemów pedagogicznych zastanawia się nad pytaniem: jaka powinna być w Polsce okresu wielkich przemian efektywna doktryna i praktyka edukacyjna. Przychyła się do poglądu o nieuchronnej konieczności odejścia od „adaptacyjnej doktryny edukacji” do „edukacji współtworzącej cywilizację i współdziałającej z siłami zmierzającymi do naprawy i przygotowania warunków bezpiecznego rozwoju cywilizacji”, a metodami pozwalającymi tej nowej doktrynie zająć trwałe miejsce w procesie edukacyjnym powinny być „dialog, demokracja i kompromis” (s. 22 i 28). A teraz już o stylu życia: czym on jest, jaką pełni funkcję w organizacji życia człowieka? „Styl życia to nie sama suma ważnych życiowo czynności – czytamy tekst Wiesławy Pielasińskiej – ale nadawanie im formy, to pewna spójność, lub brak takiej spójności, pewna całość związana ze stosunkiem do zespołu wartości. Styl życia obejmuje zarówno sferę wartości, światopoglądu i celów życiowych jednostki; sferę zachowań, zwłaszcza w dziedzinie kultury. I wreszcie sferę przedmiotów, którymi człowiek się otacza w swej najbliższej przestrzeni życiowej (s. 79–80).

Część druga i najobszerniejsza książki zawiera teksty ukazujące wspomniane style i strategie życia w perspektywie polskiej głównie współczesności, choć nie oddzielone, oczywiście, od tej samej problematyki, od owych stylów życia czy zachowań, charakterystycznych dla innych narodów współczesnego świata. Andrzej. Ciążęla w studium na temat kategorii określonej pojęciem „alternatywnej cywilizacji humanistycznej” a rzeczywistości w jej globalnym kontekście wychowania, sądzi najpierw, że owa kategoria stanowi „program wychowawczy, który łączy maksymalizm ze swoisze imperatywnym charakterem wyniającym ją koniecznością”, ponieważ „możliwości stwarzane przez rozwój potencjału naukowo-technicznego nie realizują się same – wymagają świadomego, zaangażowanego działania edukacyjnego (s. 116–117). Autor rozważa następnie różnego rodzaju uwarunkowania, które w minionych latach, także „zimnowojennych”, ograniczały swobodę rozwoju cywilizacji humanistycznej, jak choćby obojętny lub niechętny stosunek wielu wpływowych ośrodków decyzyjnych do inicjatyw Klubu Rzymskiego czy też w płaszczyźnie intelektualnej panujące przekonanie, że człowiek jest wytworem mechanizmów, których nie można kontrolować, co powoduje, że swojemu życiu może nadać jedynie indywidualny, nie dający się zobiektywizować sens. W czasach całkiem już współczesnych wielkim niebezpieczeństwem dla cywilizacji humanistycznej, zauważa A. Ciążęla, jest neoliberalizm. „Stanowi on – czytamy ten tekst z uwagą – zagadkę nie tyle ze względu na walory intelektualne, co na ich brak, a dokładniej mówiąc swój ostentacyjny prymitywizm intelektualny i otwarcie ideologiczny charakter... Stał się wynikiem antyintelektualizmu rozwijającego się na fali niechęci do intelektualistów w środowiskach konserwatywnych” (s. 121).

Przytaczamy i wskazujemy na ten tekst szczególnie, ponieważ odnosi się do wielce dziś aktualnej i ważnej debaty na temat neoliberalizmu i jego surowej krytyki w kontekście wciąż niewygasłego kryzysu gospodarki światowej. **Lecz myśl i praktyka neoliberalna wpłynęła i nadal wpływa na wiele innych sfer życia społecznego, że wskazać na postępującą komercjalizację edukacji czy służby zdrowia, na traktowanie tych dziedzin życia zbiorowego jako pola wolnej gry rynku, pozbawiając to życie humanistycznych wartości ludzkich.** Krytyka neoliberalizmu, podejmowana dziś przez różne środowiska zaniepokojone procesami dehumanizacji współczesnego życia czyni tym bardziej aktualnym pytanie o nadzieję na, jak to określił Bogdan Suchodolski „obronę ogólnoludzkiego dziedzictwa humanistycznego i przeciwstawienie się zarówno jej jawnej zdradzie, jaką jest faszyzm i próby jego odrodzenia, jak i tej zdradzie niejawnej, która ukrywając się pozorami obrony wolności,

próbuję podcinać pewność intelektualistów, iż bronią słusznej sprawy” (B. Suchodolski, *Pedagogika ideałów i pedagogika życia w: O pedagogikę na miarę naszych czasów*, Warszawa 1958).

To przesłanie jednego z najwybitniejszych polskich intelektualistów XX wieku przenika teksty autorów także trzeciej części *Alternatyw i zobowiązań*, teksty ukazujące style i strategie życia w perspektywie edukacyjnej. Nasza przewodniczka wiodąca nas po kolejnych stronach książki, prof. I. Wojnar, przedstawiając tę część, podpowiada nam, że dominuje w nich troska o ochronę podmiotowości człowieka zagrożonej przez „rynkowe modele instytucji edukacyjnych, zwłaszcza uniwersytetów tradycyjnie pielęgnujących wartości humanistyczne” (o czym ze znanostwem i troską napisali w swoich tekstach Ewa Rodziewicz i Andrzej Sztylka); sprzeciw wobec „niszczącego tkanę ludzką ekonomicznego neoliberalizmu”, co wymaga przeciwwagi „w postaci humanistycznej edukacji wspólnotowej umożliwiającej kształcenie «samodzielnie myślących podmiotów», umiejętnego wyważania akceptacji świata i świadomego działania w kierunku jego możliwej naprawy” (o czym napisały w tej książce Henryka Kwiatkowska i Agnieszka Piejka); i wreszcie w już wymienionych i wszystkich pozostałych tekstach tej części, a zwłaszcza szkicach Marii Szyszkowskiej o niezbędności przemian w sferze wartości i Bogusława Żurawskiego o wartościach w wychowaniu dobitnie zabrzmiały słowa krytyki niebezpiecznego procesu spłaszczania i powierzchownej pragmatyzacji edukacji. Konkluzja Ireny Wojnar zmierza do sformułowania wniosków pozytywnych: „Edukacja pojmowana jest coraz chętniej – czytamy – jako całościowy proces samorozwoju człowieka w zróżnicowanych i otwartych sytuacjach, w różnych układach międzyludzkich”, w związku z czym „odczuwa się potrzebę opracowania nowych podstaw kształcenia ogólnego, swoistej «pedagogiki kształcenia osobowości»” (s. 18).

Myśl tę rozwija Autorka w części końcowej książki, w syntetycznej refleksji na temat stylów i strategii życia traktowanych w „perspektywie otwartej”. Punktem wyjścia rozważań na ten temat jest uznanie jako niepodważalnej idei wzrastającej roli człowieka („czynnika ludzkiego”) w tych wszystkich wielkich przemianach, których doświadcza współczesny świat. Chodzi tutaj, rzecz konkretyzując, o „wielostronną aktywność człowieka jako autonomicznej siły regulacyjnej, zdolnej do podmiotowego wybierania i realizacji złożonych celów prospołecznych, co wymaga eksponowania (w procesach edukacyjnych – dop. WM) samodzielności myślenia i działania, myślenia krytycznego i działania kreatywnego”.

W tej rozległej panoramie rozważań, które można by określić pojęciem metaedukacyjnych, znajduje się kwestia tego, co różni „wzrost” od „rozwoju”, a więc problematyka wniesiona do światowego dyskursu wraz z publikacją głośnych raportów Klubu Rzymskiego (z lat 1972 i 1992), dalej – niemniej głośna debata nad owym: „mieć” i „być”, kwestią wciąż aktualną, związaną z racjonalnym wzrostem materialnym, będącym podstawą podnoszenia jakości naszego życia, lecz takim wzrostem, który nie prowadzi do „priorytetów jednostronnie konsumpcyjnych”.

Te i wiele innych czynników kształtujących nasze współczesne życie nie może nie znaleźć odzwierciedlenia w strategii edukacyjnej realizowanej zarówno w intencjonalnych procesach edukacyjnych jak i w postaci permanentnej samoedukacji. „W Polsce tymczasem – czytamy prof. I. Wojnar – wciąż utrzymuje się jednowymiarowa koncepcja edukacji bardziej nastawiona na przekaz wiadomości, pomyślanych na ogół w sposób utylitarny, niż na kształcenie człowieka jako osoby. Chęć zdobywania dyplomów potwierdzających uzyskanie edukacji na kolejnych szczeblach i w różnych instytucjach związana była, zwłaszcza u progu naszej transformacji, z przekonaniem, że dyplom właśnie stanowi niezawodną drogę do tak zwanego sukcesu”. Tymczasem przekonanie to, sądzi dalej Autorka, „okazuje się raczej złudne, ale generalna tendencja edukacyjna jak dotąd nie ulega zmianie” (s. 268).

Co więc trzeba zmienić w polskiej edukacji, aby zyskała blask zasada *Learning to Be* czyli *Uczyć się, aby być*, sformułowana przez UNESCO w 1972 r. albo wypracowana w polskim Komitecie Prognoz formuła: *Rozumieć świat – kierować sobą*. Co czynić, aby w przekazie edukacyjnym myślą przewodnią stało się myślenie o człowieku jako twórcy samego siebie. Autorzy *Alternatywy i zobowiązań* nie udzielają na te pytania bezpośrednio praktycznych odpowiedzi, lecz formułują zasady ogólniejsze. Trzy takie zasady można uznać za najważniej-

sze spośród wielu: to najpierw „kształcenie umiejętności w zakresie działań podmiotowych, osobowej odpowiedzialności, obecnie zbyt jednostronnie koncentrowanej na tzw. przedsiębiorczości”; to następnie „kształtowanie umiejętności rozumienia i porozumienia” prowadzącej do innowacyjnego ucznia się, „do zespierania w tym procesie aktywności umysłu, woli, wyobraźni i uczuć”; i to wreszcie ukierunkowanie na wartości humanistyczne, budujące godność człowieka i życie w tej podmiotowej godności, teraz i w przyszłości, pamiętając, że „Przyszłość jest równocześnie kategorią otwartą, wpisaną w proces rozwoju i rośnięcia człowieka” (s. 271).

Tą roztropną myśl, wyprowadzoną przez prof. Irenę Wojnar z dziedzictwa myśli Bogdana Suchodolskiego wolno, uznać za motto tej ważnej książki, która jest przesłaniem dla praktyki pedagogicznej, dla tych wszystkich pedagogów i wychowawców, których codzienny trud, godny szacunku, musi być zarazem stale wzbogacany inspiracją intelektualną. Tom *Alternatywy i zobowiązania* jest taką właśnie inspiracją.

Alternatywy i zobowiązania, praca zbiorowa pod redakcją prof. Ireny Wojnar, Komitet Prognoz „Polska 2000 Plus” przy Prezydium PAN, Warszawa 2012, s. 296.

Harc mistrz Hawliczek i jego „mała Ojczyzna”

Od Redakcji

Publikujemy poniżej teksty em. profesor medycyny Barbary KRUPY-WOJCIECHOWSKIEJ i pisarza Eugeniusz KABATCA jako świadectwa pamięci o czasie dziś dla niektórych „wyklętym” i o człowieku tego czasu, „partyjnym harcmistrzu”, człowieku pozytywnego czynu zwróconego ku dobru jego „małej Ojczyzny”, czynu zrodzonego ze szlachetnego etosu, którego tak niewiele teraz w polskim życiu. Takie świadectwo zasługuje na szacunek i pamięć.

Barbara KRUPA-WOJCIECHOWSKA

Mała Ojczyzna

W jazgocie medialnym z którym mamy stale do czynienia, czasami zapominamy o sprawach istotnych, a życie ma swoje prawa i prawdy niezwykle ważne i niezmiennie.

Na wiosnę robiłam porządek w papierach i wrzuciłam list, który przeleżał od 2006 roku. Pisał go do mnie kolega z Gimnazjum Henryk Hawliczek, z którym w latach 1945–46 byłam w jednej klasie w Kwidzynie, potem przeszedł on do Liceum Pedagogicznego i całe życie poświęcił powiatowi.

W liście znajdował się maszynopis artykułu Eugeniusza Kabatca pt. Tryptyk „przeegranych”, w którym ocenia między innymi moją wydaną wtedy książkę, a także numer telefonu autora.

W międzyczasie dowiedziałam się, że sam Henryk Hawliczek już nie żyje. Zadzwońłam zatem do pana Eugeniusza Kabatca i namówiłam go, aby napisał coś o człowieku, który kwidzyńskiej małej ojczyźnie poświęcił prawie całe dorosłe życie, a z autorem chodził do szkoły jeszcze przed II wojną światową w Wołkowysku.

Sądzę, że esej który dla mnie jest wzruszający oddaje znakomicie sylwetkę prawdziwego społecznika, a takich w małych ojczyznach jest wielu i sądzę, że jest już jakaś potrzeba wspomnień. O tym świadczy to, że organizacja tzw. małej ojczyzny cieszy się nie tylko szacunkiem społeczeń-

stwa lokalnego, ale także ludzi, którzy po opuszczeniu powiatu zrobili kariery zawodowe w innych miejscach. Koledzy mieszkający w Gdańsku pomagają redagować książki wspomnieniowe. Klasy szkolne po latach spotykają się i to nie zawsze w Kwidzynie, a przykładowo w Sopocie.

Ostatnio spotkałam w kawiarni taką powojenną, młodszą ode mnie o parę lat klasę, wszyscy byli dumni, że most w Kwidzynie, o którym marzył, jak wspomina Eugeniusz Kabatc Hawliczek, właśnie został oddany do użytku.

Zabawne, że ludzie pochodzący z różnych opcji politycznych, po latach nie są zantagonizowani, a osiągnięcia traktują jako wspólne dzieło. Jest to jakaś fizjologia społeczna i dlatego warto na to zwracać uwagę.

Eugeniusz KABATC

Partyjny harcmistrz

„Ponieważ dobro, zaiste, będące u źródła wszystkich rzeczy, jest zarazem wyrażane w wielu słowach, w kilku słowach, a także bez słów, w tym stopniu, w jakim nie można o nim orzekać ani go poznać, ponieważ wykracza ono poza wszystko w sposób inny niż wszystkie substancje...”

Z Dionizego Areopagity

Nie, nie o Jacku Kuroniu chciałbym opowiedzieć, choć sens czerwonego harcerstwa był bliski im obu. O Henryku Hawliczku opowiem, bo o nim wciąż wiemy za mało. Moja opowieść też nie będzie kompletna, choć dotknie, myślę spraw w życiu człowieka najważniejszych. Zaczynając od dalekich czasów dzieciństwa w Wołkowysku po lata dojrzałych czynów w Kwidzynie.

Przed wojną, jako kilkuletni obywatele naszej wschodniej, nowogródzkiej Polski, mieszkaliśmy na tej samej ulicy, chodziliśmy do tej samej szkoły, siedzieliśmy w ławkach tej samej klasy. Obaj zdążyliśmy doświadczyć pierwszych rygorów organizacji harcerskiej – zuchów... Po wojnie, kiedy znaleźliśmy się jako repatrianci w Kwidzynie, nieco rozeszły się drogi naszej młodości, bo kiedy ja znalazłem się w Liceum Ogólnokształcącym, on wybrał Pedagogiczne.

I to jest właśnie to: pasja wychowawcza objawiająca się w młodym człowieku w podwójnej niejako artykulacji idei, czyli tej praktycznej działalności, jaką zapoczątkowało harcerstwo, i tyleż potrzeby rzetelnego przygotowania się do przyszłej aplikacji zawodowej. Miał zostać nauczycielem, w odradzającej się ojczyźnie, której częścią było także mocno zranione wojną miasto Kwidzyń, oczekiwanie na powrót do normalnego społecznie rytmu życia było tyleż ogromne, jak trudne i złożone były warunki układania się z nową rzeczywistością.

Obywatelska aktywizacja napływowej społeczności następowała wśród naturalnych sprzecznościach pochodzeniowych, repatriacyjno-zabużańskich, postkonspiracyjnych i etniczno-autochtonicznych. Wszyscy znaleźli się w nowych okolicznościach życiowych, wszyscy szukali sposobu na przetrwanie materialne, ale doraźne rozwiązania bytowe coraz częściej już nie wystarczały. Nie miejsce tu na opis konfliktów, jakie mnożyły się w zmieniającej się socjologicznie i politycznie konfiguracji władzy i zarządzania miastem. Zostańmy tylko przy konstatacji, że Kwidzyń stał się wówczas swoistym edukacyjnym młynem, przetwarzającym w swoich wielu szkołach zawodowych młodzież zbiegającą się tu z całego nadwiślańskiego regionu w dojrzały społecznie chleb. Większość tych młodych ludzi wyruszała potem na różne szlaki życia, ambitniejsi na dalsze studia, część jednak urzędowała się w mieście, a wśród nich i ci z upartych społeczników, co się uwzięli, by kształcić i wychowywać kolejne pokolenia Polaków. Zajął się tym także Henryk Hawliczek.

W samą porę. Na powojennych zgłiszczach ojczyzny mnożyły się Domy Dziecka.

Pozbawione rodzinnych gniazd piskłeta trzymały się ich kurczowo, te dorastające już wychylały się ku samodzielnej przyszłości, ciekawe świata, ale wciąż niepewne przestrzeni życia. W naszych szkołach mieliśmy takich kolegów uratowanych z Kazachstanu lub z Wołynia po pamiętnej rzezi banderowskiej. (Rozważaliśmy z Henrykiem tę dramatyczną kwestię w trzydzieści lat później, gdy poprosiłem go podczas którejś z wizyt w naszej kwidzyńskiej „małej ojczyźnie”, byśmy odwiedzili chorującego Tolka S., wspólnego przyjaciela z młodzieńczych lat, na co Henryk przystał tracąc humor. I nie dziwota, zastaliśmy bowiem Tolka w stanie mentalnej ruiny. Choroba przyszła dość nieoczekiwanie, wyjaśnił mi Henryk po rozmowie z jego żoną, podczas próby przypomnienia wołyńskiej tragedii w Kostopolu, gdy coś rozsadziło go od wewnątrz po dziesiątkach lat szczęśliwego pamięci wygaszenia...

Psychologia, nieodrodna siostra pedagogiki, była stałą asystentką poczynań Henryka na tym trudnym trakcie pomocy kilku pokoleniom bezdomnej młodzieży i dzieci... Ale była nią także Grażyna, którą sprzątnął nam był sprzed nosa w pierwszych latach pomaturalnych i włączył ją, jako żonę swą, ale i towarzyszkę pracy, do kierowania dużym Domem Dziecka przy ulicy Kościuszki, co biegła wzdłuż kolei...

Wprowadzony tu wątek osobisty w liczbie mnogiej jest zasadny o tyle, że dotyczy również Witka Dąbrowskiego, mego warszawskiego przyjaciela, w którym pewnego dnia odkryłem i jego kwidzyńską przeszłość. I on był absolwentem tegoż sławnego liceum z przedwojenną polskością i jego pierwszym dyrektorem, Władysławem Gębikiem w tle. Zaskarbił sobie uznanie w naszym literackim świecie jako świetny poeta i tłumacz Bułhakowa (przełożył wraz z żoną Ireną Lewandowską *Mistrza i Małgorzatę*) i w czasie, o którym mowa, był naczelnym redaktorem nowej edycji warszawskiej „Współczesności”. Kiedy na początku lat sześćdziesiątych zjechaliśmy któregoś dnia do tego naszego miasta młodości, do szkoły, do Hawliczka z iście poetycką nostalgią wspomnienia rozkwitły wspólnym wzruszeniem, Grażyna – o urodzie wschodnio-słowiańskiej Księżniczki – należała w szkole do owych „zakwitających dziewcząt” Prousta, w cieniu których burzyła się krew i wyobraźnia młodych mężczyzn, dorastających już – jak one same – do nieodzownych zbliżeń i rozstań. W „Koncercie hebanowym” Dąbrowski wdychał: „Oczy miała podług szkoły flamandzkiej, wargi – jakby Memling je powiódł”. Henryk wierszy bodaj nie pisał, ale ku literaturze też zezował, gdy Grażyna, nasza muza już z dziećmi u kolan, teatrem się zajęła... Imponowała mi ta Hawliczków przystojna, pogodna para tak właściwie na miejscu społecznie ustawiona. Dziś mógłbym powiedzieć: tak twórczo wobec swojego miasta. W tym duchu rozmawialiśmy wtedy i o tym, przywołując im z Warszawy – zaangażować w ruchy ideowe – jakieś centralne zamysły wokół kultury, tak zawsze wciąż i wszędzie szwankującej w metamorfozach naszej ojczyzny, spotykając się tutaj z przykładem zjawisk konkretnych, niemal od razu sprawdzalnych. Patrzyliśmy na to z pewnym dystansem, jak stołeczni ważniacy na prowincję ale i z wzajemną życzliwością przyjaciół, jaką Henryk umiał wokół siebie wytwarzać.

Henryka Hawliczka idea czynu miała charakter przede wszystkim pozytywistyczny. Przerastając nasze warszawskie ambicje politycznego krytycyzmu, obejmowała przestrzeń społecznie odpowiedzialną określaną czasem, pewnie nazbyt skromnie, „małą ojczyzną”, za to innym razem, wręcz patetycznie, „wychowaniem dla pokoju” Harcerstwo, którego świat dzielności młodzieżowej przekładał się w potrzebie na deficytową obywatelską etykę, towarzyszyło mu wiernie na tych poszczerbionych stopniach społecznych awansów. I o tym rozmawialiśmy nieraz, gdy zjawiał się w Warszawie jako harcmistrz na centralne konwentykłe organizacji i gdy wyznawał niepokój o nazbyt jednostronną instrumentalizację ideową w wychowaniu nie tylko harcerskiej młodzieży. Aż uznał, że droga do naszej dyskusyjnej po polsku wspólnoty – podobnych celów, lecz różnych rozwiązań – prowadzi przez partię. Chodziło o nieodzowną skuteczność działania. Dał się włączyć do realizacji planów społeczno-gospodarczych miasta i został tu pierwszym sekretarzem partii. A wtedy zwały się nań sprawy zaiste rewolucyjne! To dwudziestotysięczne, spokojne wśród pokrzyżackich zabytków i ciche w zieleni ogrodów i parków, skromne powiatowe miasto postanowiło przeistoczyć się w dynamiczny ośrodek

przemysłowy, uruchamiając potężne zakłady celulozowo-papiernicze, arcynowoczesne także w skali międzynarodowej. Gdy znalazłem się tam wkrótce potem przy jakiejś literackiej okazji, nie omieszkał obwieść mnie po terenie tej wielkiej budowy, śmiejąc się z satysfakcją, że może przestanę wreszcie narzekać na brak papieru w Polsce i w związku z tym na niskie nakłady książek i czasopism, bo oto nawet amerykański kapitał zatroszczył się, żeby pomóc naszej literaturze! Imponujące to było, owszem, ale gdy rozejrzałem się wokół sentymentalnym okiem wspomnień, łaza mi się w oku zakręciła na widok tego księżycowego krajobrazu, w którym ginęły i stadion, gdzie się grało, chłopie, w piłkę nożną, mówiłem, i basen kąpielowy, skąd wyciągaliśmy niegdyś tonącą dziewczynę... Mrzonki, miałem ochotę skwitować małowiernie, szalony pomysł... Stłumiłem to w sobie, szczęśliwie, i w kilka lat później, podczas świętowania naszej małej, kwidzyńskiej ojczyzny zwiedzaliśmy ten gigant przemysłowy pracujący już w pełnym rozmachu. To dopiero był triumf światowej technologii! Ale Henryk nie uśmiechał się już tak pogodnie. Kiedy siedzieliśmy potem w jego skromnym mieszkanku przy Batalionów Chłopskich, skąd rozciągał się jednak wspaniały widok na rozległą dolinę Wisły, on spoglądał nostalgicznie ku dalekiej przeprawie, wspominając zapewne ów wojenny, drewniany most, co się zaraz zawalił przy spiętrzaniu się wiosennych lodów i tylko jednym uchem słuchając moich zachwyty nad przemianą miasta, nad tymi osiągnięciami w przemyśle i urbanizacji, które zaczęły pulsować nowym ekonomicznym i cywilizacyjnym życiem. „Kończę z tym - wyznał z pewnym smutkiem, gdy wino otworzyło w nas porę krytycznych samoocen. - Doigrałem się, przenoszą mnie do województwa”.

Przeniesiono go do Elbląga i obciążono funkcją przewodniczącego wojewódzkiej komisji kontroli partyjnej. W nomenklaturze politycznej był to niewątpliwy awans, ale zupełnie inna odpowiedzialność: brzmiała niemal groźnie, budziła szacunek, ale zawsze była pełna wątpliwości co do orzeczeń postaw ludzkich i czynów z pogranicza idei i zasad moralnych. Pozostawiał kwitnący, tętniący coraz większymi aspiracjami Kwidzyń, gdzie czuł się sprawnym współspodarzem, choć nieraz ograniczanym, co jest oczywiste, koncepcjami władz centralnych. „Czegoś ważnego nie zrobiłem - ubolewał. - Nie odbudowałem mostu na Wiśle.”

Ba! Wielu rzeczy nie zrobiliśmy wedle naszej potrzeby i marzeń. I waszej potrzeby, obywatelu, nawet wpisanej nieraz w długo przygotowywane programy społeczne, Kiedy spotykaliśmy się w Elblągu, a potem częściej, już po koniecznej transformacji politycznej, w latach emerytalnych, gdy częściej zerka się za siebie i rozmawia się ze sobą o przeszłości, ten rodzaj życiowego niespełnienia powracał jak głuchy kontrapunkt Nasze komentarze dotyczące intencji i pragnień nie mogły nie uwzględniać okoliczności, w jakich się pojawiały, paradoksem bytu komplikując prawdę, że samemu te okoliczności się współtworzyły, podobnie jak te, w których przychodzi człowiekowi siebie rozliczać, osądzać swoje dawne słowa i czyny, by umieszczać je zrozumiale [czasem i wyrozumiale] we wzburzonym potoku wydarzeń. Nie jest się sędzią w swojej sprawie, powiedziano, ale się jednak bywa, zwłaszcza gdy jest jeszcze czas na uczestnictwo w zmieniającej się rzeczywistości, Henryk już nie zmieścił się w niej w pełni, w tym nowym węzle sprzeczności, ale też nie zaniechał ufać w swoje zasady przyzwoitości, w tę harcerską wiarę, że czynić dobro można zawsze, nawet w niesprzyjających okolicznościach, przedtem niby socjalistycznych, teraz niby solidarnościowych.

Ojczyzna pozostawała dla niego ojczyzną, mniej lub bardziej wolną, oferującą swoją obywatelską wspólnotę, ale zawsze wymagającą też pracy, odpowiedzialności i choćby odrobiny życzliwego zaufania. Również ta mała, kwidzyńska, której wciąż poświęcał swoją uwagę człowieka myśli i czynu...

Za wcześniej odszedł.

Warszawa, w sierpniu 2013



W ŚWIECIE I O ŚWIECIE

Listy jerozolimskie

Uri J. HUPPERT

W sprawie państw wyznaniowych

Debata na temat państw wyznaniowych na łamach „*Res Humana*” ma szczególne znaczenie nie tylko ze względu na temat lecz nie mniej przez wyjątkowy skład jej referentów. Mówcy odnieśli się do sytuacji formalnoprawnej i do wykładni w polskiej rzeczywistości. Okazuje się, że jednoznaczne określenie państwa jako świeckiego państwa prawa, by go kategorycznie odseparować od państwa wyznaniowego, nie zawsze jest możliwe.

Wielka Brytania jest, jak wiadomo, monarchią. Królowa, Elżbieta II, jest nie tylko głową państwa (oraz głową tytularną Wspólnoty Narodów) lecz również jest ona głową Kościoła anglikańskiego, czyli jakby „papieżem” swej religijnej denominacji, która warunkuje również obowiązek przynależności pretendentów do tronu do Kościoła anglikańskiego.

Czyżby więc Wielka Brytania była państwem wyznaniowym? Niekoniecznie. Stany Zjednoczone Ameryki są bez wątpienia państwem świeckim, w oparciu o konstytucję, mimo deklaracji powoływania się na Boga (nawet banknoty firmowane przez Bank Federalny posiadają zapis: „In God we trust”), co nie umniejsza formalnej świeckości tego państwa i jego liberalno-swieckiej charakterystyki legalnej. A jednak, w praktyce świeckość i swoboda religijna nie uwolniły tego państwa od prymatu różnorodnych fundamentalistycznych kast protestanckich o wielkiej sile przebicia w sferze edukacji i polityki. Czyżby więc Stany Zjednoczone należały w pewnym stopniu do „państw wyznaniowych”? Pytanie pozostaje otwarte.

Współczesna Turcja, oparta na antyklerykalnej koncepcji Atatürka, zerwała z muzułmańskim ustawodawstwem „medżelli”, wprowadziła system prawa szwajcarskiego, w duchu Europy ustanowiła niedzielę jako dzień wypoczynku, co naturalnie koliduje z piątkiem jako muzułmańskim dniem świątecznym. Nawet alfabet został zmieniony z arabskiego na łańciński.

Ostoją świeckości współczesnej Turcji było wojsko, jako wyraz europeizacji. Premier Recep Erdogan wprowadził urzędników Unii Europejskiej w pułapkę. UE zażądała od Turcji likwidacji wpływów wojska, by jakoby ułatwić wejście Turcji do Unii Europejskiej. Obawiam się jednak, że Turcja pod wpływem sunnickiej partii islamskiej o Europie poważnie nie myślała, lecz dzięki osłabieniu wpływów wojska tureckiego dokonał się odwrót od koncepcji Atatürka i Turcja ponownie się islamizuje, próbując powrócić na Bliski Wschód śladem Imperium Osmańskiego. Czy Turcja dni ostatnich jest nadal ostoją świeckości i praworządności?

A jak jest w Państwie Izraela, formalnie ostoi świeckości i demokratycznej praworządności w myśl Deklaracji Niepodległości z 15 maja 1948 roku?

Otóż:

- frakcje ortodoksyjne parlamentu (Knesset) blokowały możliwość ustanowienia konstytucji;
- kapitulacje wobec denominacji religijnych wprowadziły trybunały religijne w sprawach małżeństw i rozwodów, bez umożliwienia ślubów cywilnych;
- szkolnictwo (aż po szkoły średnie) zostało ustawowo podzielone na świeckie, ortodoksyjno-narodowe i ultra-ortodoksyjne, gdzie dotychczas nie uczy się języków obcych, matematyki, historii, geologii czy geografii;
- ustawa o powrocie z 1970 roku podważyła decyzję Sądu Najwyższego określając narodowość według zmodyfikowanych kryteriów talmudycznych, co oznacza również, że Żydzi zdefiniowani (do trzeciego pokolenia) przez ustawy norymberskie (i zdani na śmierć jako Żydzi) w myśl ustawy o powrocie nie są Żydami o ile nie pochodzą od matki Żydówki, mimo, że mają oni prawo repatriacji jako „nie Żydzi”;
- Ustawa o prawach kobiet zastrzega, że nie ingeruje ona w ograniczenia religijne.

Podobnie do obecnej Turcji, Izrael zszedł z drogi państwa świeckiego i moim zdaniem jest dziś bezsprzecznie państwem wyznaniowym. W roku 1978 dokonano w parlamencie zmiany w ustawie zasadniczej określając Izrael jako państwo przymiotnikowe: „*demokratyczne i żydowskie*”, nie biorąc pod uwagę widocznej sprzeczności między tymi dwoma przymiotnikami.

Pamiętam doskonale wnikliwą wypowiedź prof. Michała Pietrzaka w dyskursie ze mną i jego przestrożę, że „*miękkie*” demokracje Polski i Izraela są narażone na niebezpieczeństwo klerykalizacji wbrew formalnym zaporom, ponieważ, jak rozumiałem, nie posiadają w świadomości społeczeństwa tej siły determinacji i pohamowania (*self restrain*), która umożliwia głęboko osadzonej demokracji brytyjskiej zachować (jak dotychczas) państwo świeckiego prawa, mimo braku formalnego oddzielenia państwa od religii. Więcej – przyjmując definicję prof. Pietrzaka, iż w państwie świeckim ramy ustawowe umożliwiają zachowanie wartości moralnych wspólne dla wszystkich obywateli wyznających różne religie i światopoglądy. Określenie Państwa Izraela jako „*państwa żydowskiego*” w kontekście identyfikacji narodowości i religii, dobija symboliczny gwóźdź do trumny izraelskiego światłego świeckiego państwa prawa.

Ta ustawa odpycha mniejszości narodowe, lecz niemniej odpycha obywateli, którzy dokumentują swą tożsamość po ojcu i ustawowo legitymizuje brak tolerancji.

Sądzę, że godne dyskusji będzie zagadnienie różnicy między państwem wyznaniowym a państwem wręcz klerykalnym (np. republika islamska Iranu).

WYRAZY WSPÓŁCZUCIA

Dr Sławomirowi WIATROWI, prezesowi Fundacji im. Kazimierza Kelles-Krauz, bliskiemu naszemu Towarzystwu i Redakcji RES HUMANA, składamy wyrazy głębokiego współczucia i żalu w związku ze śmiercią Mamy

Profesor Izabeli BOLKOWIAK

Prezydium Rady Krajowej
Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego
Redakcja RES HUMANA

Wyrazy współczucia i żalu kierujemy pogrążonym w bólu Żonie, Córce i Rodzinie zmarłego

Seweryna GERUSA

działacza społecznego, pierwszego urzędującego wiceprezesa Zarządu Głównego Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej, wybranego do pełnienia tej funkcji na I Krajowym Zjeździe Towarzystwa w kwietniu 1969 roku. Pozostaje w naszej pamięci.

Rada Krajowa
Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego

Radosław S. CZARNECKI

Karta sekularyzmu znad Sekwany

(Francja przypomina Europie o zasadach laickości i Oświecenia)

Latem ub. roku socjalistyczny rząd Francji (w związku z nasilającą się kampanią - ze strony różnych środowisk i organizacji wyznaniowych na laickie podstawy V Republiki) zaprezentował tzw. Kartę Sekularyzmu jaka powinna być obecna w każdej szkole w kraju. Zawarte w niej zasady winny być respektowane, a minister edukacji, Vincent Peillon, podczas ceremonii odsłonięcia Karty w jednej ze szkół pod Paryżem stwierdził, że służyć ma respektowaniu - skutecznej niż dotychczas - rozdziału pomiędzy Kościołem a państwem (a w zasadzie - między wspólnotami wyznaniowymi, a V Republiką) oraz zapewnieniu wolności sumienia.

Zanim została ogłoszona już wywoływała kontrowersje: i to w środowiskach zarówno religijnych ortodoksów jak i prawicowej opozycji. Według politycznych przeciwników rządu premiera Ayraulta Karta to typowe dla lewicy rozmywanie problemu. Prawica, jak zawsze, ma oparcie w konserwatywnie pojmowanej tradycji (i ważne nawet dziś) miejsce. Wśród grup religijnych najgłośniejsze głosy krytyki przyszły ze strony sikhów, których we Francji jest ponad 30 000. Zgodnie z wierzeniami sikhów, mężczyźni już od bardzo młodego wieku muszą zakrywać włosy na głowie. Do tej pory szkoły publiczne pozwalały młodym chłopcom nosić tzw. rumal - nakrycie głowy przypominające materiałem chusteczkę, ale zakazywały noszenia turbanów. Niektóre głosy w tej dyskusji (i to zarówno ze strony sikhijskiej jak i środowisk laickich) zwracały uwagę na to, że efektem zakazu noszenia w szkole turbanów przez chłopców z tej wspólnoty wyznaniowej będzie szybsze rezygnowanie z edukacji, a nie przyswojenie sobie zasad sekularyzmu, którym hołduje Francja.

Niesłychanie ostry atak przypuściły jednak na zasady wyłożone w Karcie środowiska muzułmańskie (i to nie tylko reprezentujące islamskich purytanów). Liczni przedstawiciele muzułmanów francuskich potępili wywieszenie Karty Sekularyzmu w szkołach. Podkreślali, że samo jej utworzenie było „wymierzone w muzułmanów i islam”, co jest oczywistą nieprawdą i swoiście pojmowanym narcyzmem na punkcie swej wspólnoty i wiary religijnej. Takie mniemanie wyraził m.in. Dalil Boubakeur, nowy przewodniczący Francuskiej Rady Kultu Muzułmańskiego (CFCM), organizacji uznawanej przez rząd Francji za oficjalnego reprezentanta francuskich muzułmanów. Boubakeur stwierdził wprost, że „doskonale widać, w kogo wymierzona jest ta Karta” oraz, że obawia się, „iż muzułmanie we Francji będą stygmatyzowani (...) gdy zasady Karty zostaną wprowadzone. Można zrozumieć obawy przed masowymi falami apostazji, ale to, co zastanawia najbardziej, to zdziwienie części religijnych mieszkańców Francji, gdy ich rząd przypomina obywatelom o *Liberté, égalité, fraternité*, o zasadach, na jakich republika francuska została ufundowana.

To oburzenie, i to jest niezwykle znamienne, łączy ponad podziałami wszystkich ortodoksów i fundamentalistów z różnych wspólnot i religii. Były minister edukacji w poprzednim prawicowym rządzie, Luc Chatel, dziś reprezentant opozycji, zachował jednak klasę i zdrowy rozsądek, a to osoba kompetentna i merytorycznie przygotowana do dyskusji nad Kartą i jej zastosowaniem: przypominał o oczywistych walorach wychowania młodych obywateli w duchu republikańskim i laickim. Zwrócił uwagę na to, iż „zawsze, gdy umożliwiała się dzieciom dowiedzenie się czym jest Republika i jakie reprezentuje wartości, to jest to coś dobrego”. Najwyraźniej znajomość idei i prawd, na których chce opierać się państwo nie jest dobrem dla motywowanych religijnie krytyków Karty Sekularyzmu. Choć wpajanie najmłodszym religijnych mitów, prawd objawionych, zasad religijnych

to „absolutnie podstawowe prawo, które jednak nie może zakłócać żadnych innych elementów systemu edukacyjnego, takich jak np. nauki ścisłe, przyroda czy historia kraju, w którym się żyje”.

Przy okazji dyskusji nad Kartą przypomniano obowiązujące we Francji prawo (obowiązujące od 2004 roku) zabraniające noszenia w urzędach, szkołach, instytucjach publicznych itp. symboli religijnych ostantacyjnej wielkości (krzyże, kipy, medaliki z Matką Boską itd.), jak również (dotyczy to muzułmanek) używania hidżabów bądź nikabów.

Ale oto Karta Sekularyzmu, wzbudzająca takie namiętności i dysputy nad Sekwaną, została skonstruowana w następujący sposób:

1. Francja jest republiką niepodzielną, świecką, demokratyczną i obywatelską. Gwarantuje równość wobec prawa w obrębie całego swojego terytorium. Szanuje wszystkie przekonania.

2. Republika zapewnia separację Kościoła od państwa. Państwo jest neutralne wobec przekonań religijnych i duchowych. Nie ma religii państwowej.

3. Sekularyzm gwarantuje wolność sumienia dla wszystkich. Każdy ma prawo do wiary jak i braku wiary. Sekularyzm umożliwia swobodne wyrażanie swoich przekonań, z poszanowaniem innych w granicach porządku publicznego.

4. Sekularyzm umożliwia korzystanie z obywatelstwa, pogodzenie wolności każdego z równością i braterstwem wszystkich, ze względu na interes publiczny.

5. Republika zapewnia w instytucjach szkolnictwa poszanowanie każdej z tych zasad.

6. Świecka szkoła oferuje swoim uczniom warunki do kształtowania swojej osobowości, ćwiczy ich wolę i stwarza możliwość nauki bycia obywatelem. Chroni przed prozelityzmem i wszelkimi naciskami, które uniemożliwiają uczniom dokonywanie własnych wyborów.

7. Sekularyzm zapewnia uczniom dostęp do i dzielenie wspólnej kultury.

8. Sekularyzm pozwala uczniom korzystać z wolności słowa w ramach właściwego funkcjonowania szkoły wyrażającej szacunek dla republikańskich wartości i pluralizmu poglądów.

9. Świeckość oznacza odrzucenie wszelkiej przemocy i dyskryminacji, gwarantuje równość pomiędzy dziewczętami i chłopcami i opiera się na kulturze szacunku i zrozumienia innych.

10. Zadaniem pracowników szkoły jest przekazanie uczniom zasad i wartości sekularyzmu oraz innych podstawowych zasad Republiki. Dbają o wdrożenie tych zasad w szkolnictwie. Ich zadaniem jest zaznajomienie z Kartą rodziców uczniów.

11. Pracownicy mają obowiązek ścisłej neutralności. Nie powinni manifestować swoich przekonań politycznych oraz religijnych podczas wykonywania swoich obowiązków.

12. Zajęcia są świeckie. Aby zapewnić uczniom najbardziej obiektywną możliwość dostępu do różnorodności światopoglądów w miarę zakresu i precyzji wiedzy. Żaden temat nie jest a priori wykluczony z badań naukowych i edukacji. Żaden uczeń nie może powołać się na przekonania polityczne i religijne w ramach nauczania i prawa do przestrzegania reguł programowych.

13. Nikt nie może wykorzystywać swoich przekonań religijnych, żeby odrzucić zasady obowiązujące w szkole republikańskiej.

14. W szkołach publicznych reguły życia w różnych dziedzinach, jak określono w przepisach, wyrażają szacunek dla świeckości. Noszenie dowodów lub strojów, którymi uczniowie manifestują swoją przynależność religijną jest zabronione.

15. Uczniowie przyczyniają się do podtrzymania sekularyzmu w szkole poprzez swoje myśli i działania.

Czy powinniśmy się interesować tym co w tej mierze dzieje się we Francji i we francuskim szkolnictwie? Otóż – tak. Karta Sekularyzmu, pomimo że nie jest tworem idealnym, stanowi jednak dobry przykład zarówno celu do jakiego powinno się dążyć w ramach rozdziału Kościoła od państwa jak i możliwych sposobów jego realizowania.

Czego więc możemy się nauczyć od Francuzów? Otóż możemy na jej podstawie stworzyć podobny dokument, który mógłby się stać fundamentem starań, by i w Polsce przypomnieć o rozdziale Kościoła od państwa. Ten trud winna wziąć na siebie lewica polska i to zarówno z uwagi na tradycję oświeceniowo-republikańską, jak i z racji zasadniczych idei jej przyswiecających. I choć może się to w obecnej sytuacji jaką mamy w kraju wydawać utopią, to jednak należy wybiegać w przyszłość. Należy dać wyraźny sygnał elektoratowi lewicowemu i jej sympatykom, że lewica zamierza bronić konstytucyjnej zasady neutralności państwa i jego autonomii. I tego samego oczekuje od Kościoła.

Autor jest publicystą, stale współpracuje z RES HUMANA.

Wiesław ŁUKA

Nie ma jednej drogi do szczęścia

Odprawy celnej na lotnisku w Singapurze boimy się już przed odprawą na Okęciu. Barbara, ze skromnym wyrazem twarzy informuje, że odwiedziła 78 krajów i dobrze pamięta, czego nie wolno wwozić i używać w najbogatszym, indochińskim mieście-państwie, oddalonym od równika o 137 kilometrów. Liczba zakazów grubo przekracza półtorej setki. Ewa najbardziej się frasuje, że tam nawet na ulicy trzeba długo szukać wydzielonego miejsca z zieloną skrzynką – koszem, przy którym można zapalić papierosa. Słyszymy, że azjatyccy celnicy są nieobliczalni i nigdy nie wiadomo, czy nie natrafimy na takiego, który nie przepuści nawet dwóch półlitrowych, plastikowych (bo lżejsze) flaszek soplicy traktowanej jako krople żołądkowe, co w tropiku jest najskuteczniejszym lekarstwem na wszystko.

O współczuciu katolikom

W laboratoryjnie wypucowanym autokarze, w temperaturze 24 kresek w skali Celsjusza (za oknami dziś, jak prawie okrągły rok, 36 stopni, a wilgotność 87% i żadnej chmurki na niebie) przewodnik Ong w drodze do hotelu wita nas kilkoma głębokimi ukłonami z rękoma złożonymi jak do modlitwy. Informuje, że jest Singapurczykiem o chińskich korzeniach. Jest z tego dumny, ponieważ Chiny kontynentalne za około 15 lat dorównają Singapurowi w PKB per capita. Ten obecnie wynosi tu 60 tys. USD per capita, co lokuje 5,5 mln obywateli na podium trzech najzamożniejszych społeczeństw świata.

Zachwyt nad wyrafinowaniem architektury i czystością apartamentowców strzelających w niebo oraz różnorodnością rzeźb, pagórków, dolinek, oczek wodnych, drzew, krzewów, kwiatów i w ogóle zieleni wzdłuż alei z lotniska do centrum metropolii. Słucham w jednym z wątków powitania o wrażeniach Onga z... Krakowa. Urzekło go przed trzema laty to miasto: „Wy tam macie wiele kościołów – przyznaje – a my tu mamy wiele wyznań religijnych i żadnych konfliktów na tym tle”. Parę chwil później: „Terroryzm muzułmański powoduje, że ginie bardzo dużo chrześcijan, czego wam, katolikom współczuję”. Ong w entuzjastycznym tonie informuje, że w Singapurze oficjalnie uznaje się siedem języków ojczystych kilkunastu grup etnicznych, nie licząc kilkunastu dialektów chińskich oraz hinduskich.

O przerwany wątku

W centrum metropolii jej symbol – gigantyczny Merlion (głowa lwa, tułów i ogon ryby). Z paszczy drapieźnika wytryskuje wodny warkocz o sile kilku połączonych strumieni strażackich hydrantów. Przy tej fontannie, w ożywczym pyle wodnym czterdziestolatka Onga nie opuszcza entuzjazm w głosie. Specjalista od zaawansowanych technologii Onga nie opuszcza entuzjazm w głosie. Specjalista od zamykania identyfikuje poszczególne drapacze chmur. Jest ich kilkadziesiąt na niewielkiej powierzchni, ciągle jeszcze wydzieranej morzu. W wielu z nich decydują się globalne finanse Azji i świata.

Nie mamy wyjścia – przyjmujemy na wiarę zapewnienie Onga, że w jednym z nich – OCBC (Overseas Chinese Banking Corporation), nienajpiękniejszym architektonicznie, decydują się losy państewka; to najpotężniejszy bank Azji (określenie przewodnika) z kapitałem 100 bilionów USD. W oddali widać liczne statki na redzie Cieśniny Malakka. Ong twierdzi, że Singapur jest drugą po Szanghaju potęgą przeladunkową świata.

Przy relaksującym piwie Chińczyk zachwyca się blaskami demokracji singapurskiej o cechach socjalistycznych, czyli skutecznej walki na rzecz dostatku i równości wszystkich obywateli. Symbolem tego są budowane przez państwo mieszkania o średniej wielkości około 100 m² i przekazywane ludziom „wszystkich ras i wyznań” na wieczyste użytkowanie na lat 99. Opowiada o krótkich, kilkudziesięcioletnich dziejach demokracji (1965 r.). Jej podwaliny – twierdzi – to wolność religijna. Ale i trudne do przyjęcia dla Europejczyka restrykcyjne prawo – zauważam. Tak – przynajmniej nieco zmieszany Ong, ale nie rozwijamy wątku, bo nie wypada gospodarzowi czynić afrontu; Azjaci dość trudno znoszą krytykę.

O chłostaniu

Wieczorem, po obżarstwie obiadokolacyjnym ze szwedzkiego bufetu, przed naszym hotelem OASIS w feerii świateł i kolorów, zagaduję skośnookiego obywatela w średnim wieku, bardzo porządnie ubranego: dlaczego białą ściągą pucuje szorstką, kamienną ścianę hotelu, na której, co sprawdziłem palcem, nie ma żdźbła kurzu. Odpowiedział dość nerwowo, że dostał karę pracy społecznej za przejechanie rowerem w tunelu dla pieszych. Gdyby był recydywistą, po podobnym wykroczeniu otrzymałby karę chłosty bambusowym kijem. Sąd wziął jednak pod uwagę tę okoliczność łagodzącą, że obywatel jest absolwentem miejscowego Uniwersytetu Technologicznego Nanyang. Czterdziestolatek zdążył mnie jeszcze poinformować, że tu za kilkanaście rodzajów przestępstw grozi kara śmierci; m.in. za „asystowanie przy samobójstwie osoby poniżej lat 18-tu”. A wyroków przez powieszenie (wyłącznie w piątek) wykonuje się tu więcej niż gdziekolwiek na świecie. Niedługo potem w Internecie wyczytałem, że tylko w Arabii Saudyjskiej częściej eliminują „niesfornych” obywatele spośród żyjących.

O narkotykach

Na przejściu granicznym z Malezją nerwowość. Malajowie nie wpuszczą żadnego autokaru z Singapuru na swoją stronę, bo nie ma on specjalnych oznaczeń rejestracyjnych, które są pilnie strzeżoną tajemnicą. Zabieramy więc z niego bagaże, żegnamy się z Ongiem i strefę graniczną przechodzimy objuczeni. Słyszymy, że we wzbudzającej zazdrość warszawiaka hali odpraw w Johor Bahru nie można zjeść nawet batona, skorzystać z toalety, nie warto się rozglądać, by nie być podejrzanym o szukanie kamer czy fotoradarów, zanim bagaż główny, podręczny i ...ciało, z podniesionymi na rozkaz rękoma, nie zostaną prześwietlone. W Malezji wiedzą, że w Singapurze za przemyt narkotyków grozi kara śmierci, ale wiedzą też, że wyroki eliminacyjne mimo tego zagrożenia są wykonywane, czyli śmiertelność proceder trwa. Nie do rzadkości należą przypadki nieświadomego przemytu narkotyków w... bagażach Bogu ducha winnych turystów, często leciwych emerytów. Skąd się w ich walizkach wzięły „prochy”? Ano w pokoju hotelowym na przykład sprzątaczką, czy jej męscy współpracownicy (widziałem takich na korytarzach hotelowych) mogli półprzytomnemu z powodu tropiku Polakowi, czy jeszcze mniej przytomnej Amerykance podłożyć „śmiertelny pakuneczek”. Międzynarodowi „żołnierze” mafii narkotykowych z łatwością porozumiewają się ze sobą przez granice i konwojują przypadkowych „kurierów”. W kolejnym hotelu inne sprzątaczkę, czy ich męscy współpracownicy, przechwytyują trefne przesyłki. Zatem w terminalu Johor Bahru jesteśmy wyjątkowo czujni.

O drodze do raju

Dwie godziny jazdy na północ – jedyne miasto kraju, Malakka wpisane na listę światowego dziedzictwa kulturowego UNESCO. Na początku XVI wieku przybyli tu pierwsi Europejczycy, Portugalczycy, którzy zbudowali faktorię. Nie wiedzieli jeszcze, że arabscy wyznawcy Allaha i jego proroka Mahometa przekonali tubylców do swojej religii sto lat wcześniej. 60% obywateli dzisiejszej Malezji nie zmieniło wiary.

Po katolikach zostały na wzgórzu m.in. ruiny kościoła św. Pawła. W cieniu odrapanej ściany siedzi na plastikowym wiadrze czekoladowoskóry, w kowbojskim kapeluszu, obywatel z matki Cejlonki i ojca Kenijczyka. Śpiewa z towarzyszeniem gitary kultowy przebój Luisa Armstronga, Waht a Wonderful World. Nie opowie, jak trafił do Malakki przez Republikę Południowej Afryki i Australię, bo to zawiła historia, ale wie, dokąd zmierza. Śmieje się: „Chcę się dostać do raju Allaha, w otoczenie rajskich dziewic, które obiecuje swoim wyznawcom prorok Mahomet”. Dlatego porzucił wiarę swojej matki w boga Wisznu. Już nie pielgrzymuje do jego świątyni w Jaskini Batu, bo tam pieją koguty i jest smród (to prawda, sprawdziłem). Wie, że w Europie islam kojarzy się z terroryzmem i Al-Kaidą. Wyciąga z futerału gitary wyraźnie „zaczytaną” książkę, Koran i mówi, że w niej nie ma „wołania o wojnę z niewierzącymi Europejczykami i Amerykanami”.

Pytam wieczorem w hotelu Furama, już w Kuala Lumpur naszego malezyjskiego przewodnika, Erica o korzeniach także chińskich: – Czy mogą się w przewidywanej przyszłości urzeczywistnić pomysły niektórych polityków parlamentu malezyjskiego, lub urzędników króla (wybierany on jest na pięcioletnią kadencję z grona kilkunastu sułtanów, rządzących prowincjami), by uczynić islam religią państwową? Eric dość emocjonalnie rozwija myśl, o której wspominał kilka godzin wcześniej w autokarze: Brytyjczycy opuścili Malezję w 1957 roku, ale wcześniej przyczynili się do uchwalenia demokratycznej konstytucji. Ona wyklucza powstanie państwa wyznaniowego. A Malezja nie zamierza w podobny sposób tracić pozycji jednego z tygrysów gospodarczych Dalekiego Wschodu”. Jest zajęta podnoszeniem wielkości PKB per capita; na razie sięga on zaledwie trzeciej części singapurskiego poziomu.

O gmeraniu dla podniety

Już Tajlandia, wyspa Krabi z jej kurortem, najsłynniejszym nad Morzem Andamańskim. Deptak zatłoczony, sauna pod gołym niebem, dusząca smażonym olejem i przyprawami z ulicznych rusztów. Obok rzadkich, czystych butików, zapchanych pamiątkarską tandetą, cuchnące rudery, w których setki psów zawsze wyszperają coś dla siebie do jedzenia. Nocą wychodzą na żer szczury, a nierzadko pytony. Uliczne paleniska i skwierczące na rozgrzanych blatach egzotyczne smakołyki przyciągają rzykanckich wczasowiczów także białej rasy. Tu kolejna doba kończy się o czwartej nad ranem doby następnej. 95% Tajów, to buddyści, więc alkohol mocny i słabszy można kupić w każdym sklepie i pić w każdym oszklonym lokaliku lub przy brudnych stolikach na chodnikach. Dlatego zataczających się tubylców i puszczonych „pawi” pod stolikami nie brakuje. Najwięcej ich w patio pod nazwą Meeting Point, przed którym półnagie dziewczyny i transwestyci (jeden z nich w prawej połowie ciała ubrany jak kobieta, a w lewej jak płęć przeciwna) prawie na siłę wciągają przechodniów do swoich gabinetów rozkoszy; możesz jej doznać za szybą, czyli na oczach gapiów, lub kameralnie, za kotarą. Nastoletni chłopaczekowie również wabią „swoich” amatorów. To samo, tylko w zwielokrotnionej postaci i intensywności zobaczmy w Bangkoku, przed licznymi burdelikami okalającymi słynny bazar Patpong.

O męskiej rozwiązłości

W drodze nad rozślawioną filmem i przebojem muzycznym rzekę Kwai nasza przewodniczka, Koj, Tajka z dziada pradziada informuje, że jej ojczyzna słynie w Azji z sil-

nie zakorzenionej i powszechnej wiary w system filozoficzno-religijny Buddy. A drugi powód do sławy Tajlandii, to najbardziej rozwiązyły styl życia męskiej połowy narodu. Mąż spłodzi żonie troje, pięcioro dzieci (Koj urodziła tylko dwoje) i nadzwyczaj często bez słowa pożegnania odchodzi w poszukiwaniu następnej wybranki. Nie musi martwić się o proces rozwodowy. Rano pokłóci się z żoną, w południe idzie do urzędu i za pół godziny wychodzi z niego rozwiedziony. Nie obawia się o płacenie alimentów, nie ma tu bowiem przepisów nakazujących ojcu współuczestniczyć finansowo w wychowaniu i wykształceniu dzieci. Dlatego Tajki wołają wychodzić za mąż za cudzoziemców – wyznaje przewodniczka - bo oni są wierni. Na wsi rodzice nie mają ciśnienia na kształcenie dzieci, ponieważ się boją, że one po skończeniu szkoły uciekną do miasta, i nie będzie komu pracować na polach ryżu, bawełny, trzciny cukrowej oraz manioku.

W Bangkoku jest dużo szkół i szpitali – informuje Koj – a we wsiach, na pytanie szefów władzy samorządowej: co budujemy – szkołę, czy szpital? – ludzie na pewno najczęściej odpowiedzą: świątynię buddyjską. Ale Koj zapewnia z dumą w głosie, że Tajlandia, to najsilniejszy kraj Indochin i największy raj dla biznesu – drobni przedsiębiorcy płacą 3% podatku, zaś wielki biznes tylko 10%. Daleko jest jej jednak do poziomu życia obywateli nawet Malezji; tu PKB per capita to tylko 10 tys. USD.

Ścieżkami Buddy

Spokoju doczesnego obywateli oraz ich szczęścia wiecznego w następnych wcieleniach strzegą na ulicach Bangkoku oraz szosach rozległej monarchii parlamentarnej setki tysięcy, miliony ołtarzyków poświęconych królowi, albo Buddzie, jego najsławniejszym mnichom i duchom przodków.

Obecny król, Rama IX i Budda żyją od 1946 roku w bardzo rzadko zakłócanej zgodzie. Rama (lat 87) jest gwarantem jedności narodu, a mnisi buddyjscy są wzorem do naśladowania na drodze do wzbogacania własnej karmy. Wzbogaca się ją poprzez palenie kadzidełek w świątyni, ofiarę w pieniądzu lub naturze oraz uczynki. O karmę należy zabiegać w obecnym wcieleniu, by w kolejnych nie stać się za karę na przykład roślinką, albo drapieżnym zwierzęciem. Każdy Taj i Tajka muszą indywidualnie starać o własną karmę. Mnisi nie modlą się za wiernych, nie organizują im wspólnych nabożeństw, nie sprawują rządu dusz, nie żądają pieniędzy za śluby i pogrzeby, nie zbierają na tacę ofiar (ale skarbonki oraz koszyczki wystawiają w świątyniach), nie katechizują w szkołach, nie wtrącają się do rządów parlamentu, nie głoszą w mediach przewagi prawa boskiego nad stanowionym; w ogóle są nieobecni w mediach. Obywatele nie przestrzegają przykazań autorstwa hierarchii buddyjskiej, tylko podążają ścieżkami Buddy oraz jego najwierniejszych uczniów, bodhisattwów; tych sprzed tysięcy lat i tych późniejszych, którzy osiągnęli oświecenie poprzez dobre uczynki.

Pytam nieśmiało, czy cywilnym wyznawcom Buddy trudno, bez wsparcia duchowego mnichów, osiągnąć stan oświecenia? Słyszę: „Każdemu trudno, tak samo im, jak i nam”. Każdy ten stan osiąga na miarę swego rozumu, sił wewnętrznych oraz woli. Słyszę radę, by za dużo nie myśleć o osiągnięciu stanu oświecenia, „który w Europie nazywacie szczęściem”. Trzeba natomiast myśleć o wzbogacaniu własnej karmy. Nie ma jednej drogi do szczęścia, zaś szczęściem jest samo podążanie i wzbogacanie, puentuje mnich San. Pytam nieśmiało o ocenę dużej swobody obyczajowej, zwłaszcza młodzieży, z której Tajlandia słynie w świecie. Słyszę zapewnienie mnicha: „Nie mam prawa nikogo osądzać. Ci, którzy żyją paskudnie, sami się grzebią i sami będą cierpieć w następnych wcieleniach”.

FORUM

FILOZOFICZNO-LITERACKIE

Maria SZYSZKOWSKA

Okiem filozofa

Niszczenie Polski

Nie dość, że zlikwidowany został Polski przemysł i rybołówstwo, nie dość, że obniżono poziom edukacji stosując się niewolniczo do zaleceń Unii Europejskiej, to jeszcze pod pozorem rewitalizacji zachodzą u nas przejawy niszczenia środowiska naturalnego. Wycinanie drzew objęło już całą Polskę. Zielone centrum Kielc zostało zamienione na betonowe miasto, by podać ten przykład. Niektóre drzewa wycina się z tego powodu, że w opinii tzw. specjalistów są bezwartościowe. Nie bierze się pod uwagę tego, że przybywa samochodów i że każde drzewo, łącznie z brzoźami, topolami i klonami jest czymś bezcennym, a ich wycinanie zmienia niekorzystnie klimat.

Nałęczów jest szczególną miejscowością, bowiem przyjeżdżają tu kuracjusze z całej Polski. Jest miejscowością wyjątkową także z racji powiązań z wybitnymi przedstawicielami literatury pięknej i sztuki, by wymienić Żeromskiego, Prusa, Szelburg-Zarembinę, Andriollego etc. Do niedawna miasteczko to przyciągało również swoją niepowtarzalną zielenią, w której tonęły domy i ulice. Wycinanie drzew, wysuszanie błot, budowanie domów tam, gdzie już przed wojną było oczywiste, że powinny pozostać te tereny „płucami” Nałęczowa, doprowadzi do tego, że klimat tej miejscowości przestanie mieć znaczenie lecznicze.

Ale skoro powstają katedry „kapitału ludzkiego” w uczelniach i skoro nastąpiła degradacja systemu opieki zdrowotnej, to dla decydentów miało ważne staję się podtrzymywanie zdrowia społeczeństwu. Od sześćdziesięciu lat wraca sprawa budowy obwodnicy dla Nałęczowa, ale kończy się na słowach. Przez centrum tego uzdrowiska przejeżdżają samochody. Ponadto konserwator zabytków wyraził niedawno zgodę na wybudowanie w centrum Nałęczowa szpitala okulistycznego, co zniszczy zabytkową Aleję Lipową, spotęguje opary benzyny i hałas.

Krytykując tzw. rewitalizację polskich miast odwołuję się głównie do przykładu Nałęczowa, bo znam w szczegółach przejawy rzekomego przywracania do życia miejscowości, która nie wymaga powrotu do życia.

Haniebne jest nie liczenie się z testamentem Stefana Żeromskiego, który ofiarował społeczeństwu Nałęczowa na cele socjalne zabytkową willę projektu Koszyc-Witkiewicza. Ludzi biednych w Nałęczowie – podobnie jak w całej Polsce – nie brakuje. Sprawy kultury nie są szczególną troską władz miasta, a mieści się tu siedziba ogólnopolskiego Stowarzyszenia Pacyfistycznego do którego należą także cudzoziemcy. Na konferencje międzynarodowe lub ogólnopolskie organizowane w Nałęczowie przez to Stowarzyszenie, bądź przez Polski Oddział Stowarzyszenia Kultury Europejskiej (z siedzibą w Wenecji), nie przychodzi nikt z władz miasta, by powitać zebranych. Inaczej bywa na przykład w Tarnowie.

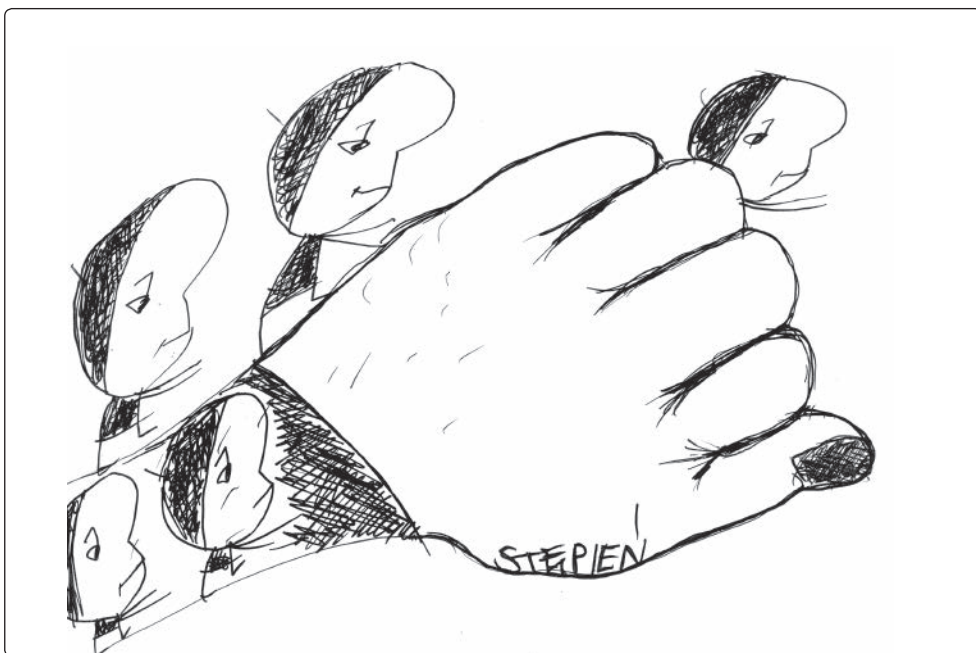
Decentralizacja Polski, tak bardzo chwalona przez działaczy Solidarności, prowadzi do rujnowania kultury polskiej, by zilustrować to na przykładzie likwidacji nałęczowskiej orkiestry dętej, mającej przeszło 100 lat tradycji.

Ale za to jest w Nałęczowie straż miejska, mimo że dużo większe miasta w Polsce zrezygnowały z jej utrzymywania z racji kosztów i mało pozytywnej działalności. Do rozmaitych absurdów należy zaliczyć wywożenie śmieci przez ekipę z miasta położonego kilkadziesiąt kilometrów od Nałęczowa. A w Nałęczowie kupiono nowy sprzęt do wywożenia śmieci. Jak to się stało, że przetarg wygrała firma z Kraśnika?

Burmistrz w ramach rewitalizacji zapowiada wycięcie kilkudziesięciu drzew na wzgórzu, ponieważ sto lat temu tam nie rosły. W takim razie należałoby wprowadzić dorożki zamiast taksówek, przywrócić „kocie łby” i gazowe latarnie. Miasto – ogród, dobro kultury narodowej, zmienia się w pospolitą miejscinę bez drzew. Ustawione w ramach rewitalizacji zbyt wysokie latarnie słabo oświetlają tylko ten chodnik na którym stoją – zaś chodnik po drugiej stronie ulicy tonie w mroku. Podczas instalacji tych lamp były przycinane drzewa. Należy się spodziewać, że w lecie wycinane będą gałęzie, co osłabi żywotność drzew.

Rewitalizacja sprawiła, że w centrum miasteczka widnieje klozet, którego koszt był bardzo wysoki oraz widnieje miejsce zabaw dla dzieci utworzone poprzez wycięcie starych drzew. Dzieci bawią się przy ulicy, a widok ten nie dodaje uroku uzdrowisku, które ma leczyć serce i system nerwowy spokojem i gęstwiną zieleni, której też już prawie nie ma.

Decentralizacja doprowadziła do tego, że jeśli burmistrz „urobi” sobie radę, to może podejmować bezkarnie działania nie mające na celu korzyści dla miasta. Bo na przykład monitoring został założony w Nałęczowie bez sensu o ile pominiemy interes firmy tym się zajmującej. Decentralizacji towarzyszy brak kontroli społeczeństwa, które jest biedne, zastraszone brakiem pracy i umowami śmieciowymi, a więc bierne. To pogłębia brak zainteresowania wielu tym, co dzieje się poza progiem własnego domu.



Rys. Jan Stepień

Na manowcach walki

Marcowe słońce zatrzymało się na błękitie nadętego jak boska doskonałość nieba i pożegnało świeży śnieg na ziemi istic kosmicznym ciepłem i blaskiem. Choć miało się ku zachodowi, zrobiło się jasno, jakby to wszyscy biali aniołowie zebrali się w ogrodzie przed domem, by uczcić święto wiosny.

- Oto wpuszczam przez próg muzykę Strawińskiego - powitał Profesor Przyjaciela, mrużąc oczy i szeroko otwierając przed nim drzwi.

- Pochlebiasz mi - wyznał Przyjaciół, wchodząc do środka. - Na dworze chlapa i we mnie gniew, a tobie w duszy wiosenny śpiew...

Profesor uśmiechnął się pogodnie.

- No widzisz, ciebie też zniewoliła poetycka muza! Pełna harmonia!

Przyjaciół, gdyby był młodszy, pewnie by się zarumienił.

- Takie rymowanki to oznaka starości - ocenił samokrytycznie. - Tam marcowe słońce topi marcowy śnieg, tu człowiek jak zając pomyka przed starością, jakaż w tym harmonia?

- A cóż innego, Przyjaciółu? - utrwał się w swoim wrażeniu Profesor. - Jakaż to inna więź tak łączy nas trwale z naturą?

- Zwyczajna walka o przetrwanie, mój uczony filozofie - obwieścił Przyjaciół bezdyskusyjnym tonem.

Może by jednak coś dodał, ale oto znalazł się w innym porządku rzeczy.

Tego popołudnia w bibliotece Profesora panował niecodzienny ład. Było znacznie luźniej, po kątach, gdzie zwykle gromadziły się stosy książek, stały świeże kwiaty. Przyjaciół rozglądał się wokół z niejakim podejrzeniem, więc Profesor pośpiesznie i z nieskrywaną satysfakcją wyjaśnił:

- Starą landarą przyjechali młodzi ludzie i połowę moim zbiorów zawieźli ma uniwersytet. Czyż nie ma w tym harmonii?

Przyjaciół zerknął na niego krzywym okiem.

- Pięś, stary? Przecież to zwykła walka pokoleń!

- Współpraca pokoleń - poprawił go Profesor. - Człowiek nie musi niszczyć tego, co stworzył.

Na stoliku pod oknem tradycyjnie piętrzyły się kanapki, nad którymi geometrycznie wznosiła się smukła butelka wina. Przyjaciół zezował w tamtą stronę z zainteresowaniem.

- Nie musi, ale ciągle to robi - stwierdził z wyczuwalną kpinką. - I zaraz zabierzemy się do dzieła, prawda?

- Człowiek przetwarza naturę dla życia - odpowiedział Profesor sentencjonalnie. - I w tym celu współdziała z innymi ludźmi. Zapraszam.

- Albo o to z nimi walczą - uzupełnił go Przyjaciół niefrasobliwie, zajmując swoje miejsce pod pustym teraz regałem.

Profesor jakby przygasł. Po raz któryś uświadomił sobie, że to pojęcie, to działanie, ten czyn - walka, walczyć - należą do jednej z najtrudniejszych cech człowieka i, choć jako desygnat zajmuje zwykle najwięcej miejsca w słownikach znaczeniowych i frazeologicznych, pozostaje nadal tajemnicze i aksjologicznie niedookreślone.

- Najczęściej walczymy z kimś lub o coś - zaczął pojednawczo. - Czasem jest to walka na śmierć i życie, innym razem mamy na myśli zwykłą przepychankę.

- Bo raz jest to walka na bagnety, a drugi o miejsce w kolejce - włączył się Przyjaciół w to rozumowanie.

- Słowem, bywa to walka z wrogiem lub swoim współobywatelem - komentował Profesor siebie. - Ileż nieporozumień pociąga za sobą to nieliczenie się z siłą przenośni! A przecież jest w tym rozpiętość taka, jak między wojną a pokojem. Gdy już sama wojna wymaga kategorycznego imperatywu negacji...

- I nieustannej walki o pokój - podrzucił mu po swojemu Przyjaciół.

Profesor zawahał się.

- Zakładając, że człowiek jest stworzony do walki - powiedział bez przekonania. - Bo tylko wtedy zrozumiałe się staje, że nawet tak pokojowe zjawisko jak sport, jest światem walki.

- A jakże! - zapalił się Przyjaciół, coraz częściej zezując na butelkę przed sobą. - Rozwalił przeciwnika, rozłożył go na łopatki, znokautował, dokopać, sponiewierać...

- Skrzywdzić fizycznie, a nawet boleśnie! - dał się porwać Profesor. - Pokonać przeciwnika przynajmniej na punkty. Być lepszym!

- Ale zawsze w równej, szlachetnej walce - zastrzegł się Przyjaciół.

- Dlaczego w walce? - zmitygował się też Profesor. - A może lepiej w braterskiej rywalizacji, w zmaganiu się, w mocowaniu się i opanowaniu?

- Nie da się. - Przyjaciół jakby się zniechęcił. Pokręcił przecząco głową. - Jak dobrze pomyśleć, wszystko jest walką: o życie, o władzę, o prawa polityczne, społeczne, religijne, obywatelskie, o sprawiedliwość społeczną lub nasze własne interesy...

Profesor spoważniał.

- Pytam: dlaczego nie jest to współpraca? Nawet z przyrodą, nawet z Bogiem? Przyjaciół skrzywił się sceptycznie.

- To są manowce.

- Dlaczego tak sądzisz?

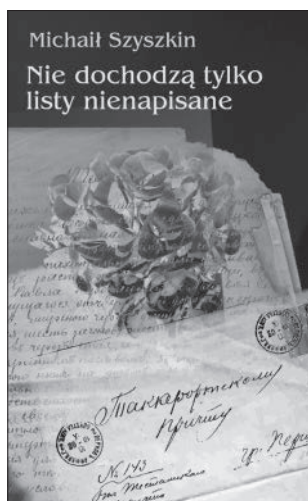
- Sorry, tak zostaliśmy ulepieni...

Obaj uśmiechnęli się do siebie i obaj równocześnie sięgnęli po lampkę wina.

- Za manowce! - wznosił toast Profesor.

- Na manowcach nie ma dróg - zauważył Przyjaciół.

- Ale są ścieżki - powiedział Profesor.



Lektury nieobowiązkowe

Wacław SADKOWSKI

Książka niespełnionych nadziei

Wylizanie wątpliwości jakie wzbudziła we mnie lektura polskiego przekładu tłumaczonej już na inne języki powieści znanego pisarza rosyjskiego Michaiła Szyszkina zaczęła od zwierzenia się z obawy, że tytuł polskiej wersji tego utworu wydaje mi się nazbyt inwencyjny. Tytuł oryginału brzmi *Pismownik*, wersja polska rezy-

gnuje z prób wyszukania ekwiwalentu dla tej zbitki dwóch rdzeni wyrazowych (mowy i pisma), nawiązuje natomiast do popularnego powiedzonka polskiego (głoszącego, że nie dochodzą jedynie listy nie wysłane). Ale tę powieść epistolarną napisano przecież właśnie w formie listów powstałych (nawet jeśli powstawały jedynie w myślach obojga jej protagonistów)!

Kolejna wątpliwość dotyczy już nie przekładowczyni, lecz autora tej książki. Jest nim jeden z najgłośniejszych pisarzy rosyjskich okresu postradzieckiego, od lat osiadły w Szwajcarii (najpewniej nie w trybie emigranckim), w Zurychu i pisujący także po niemiecku. Omawiana powieść kreśli życiowe i uczuciowe dzieje dwojga protagonistów, którzy poznali się i zakochali w sobie (nawzajem, oczywiście!) u samego zarania dorosłości, na wakacjach nadmorskich i którzy nigdy potem już się nawet nie spotkali. Proces dojrzewania w nich tego uczucia, a następnie jego ewoluowania w zmiennych – i radykalnie odmiennych – kolejach losu ukazany jest równoległe w swoistym *continuum*, w zbieżnej sekwencji listów, jakie protagoniści tej powieści do siebie wystosowują. Listów, dodajmy, bez odpowiedzi, gdyż żaden z nich nie zostaje nigdy wysłany (a nawet, być może, sformułowany je wyłącznie w wyobraźni). W każdym jednak razie mamy do czynienia z ich utrwalonym przez autora zapisem w formie powieściowej.

Rzecz rozgrywa się w dość istotnym dla wniknięcia w dramatyzm losów bohaterów tego utworu czasie, historycznie dość ściśle określonym: wybucha właśnie w Chinach słynne powstanie bokserów, wielkie imperia kolonialne (w tym także Rosja, oczywiście carska) wysyłają tam karne korpusy interwencyjne, bohater powieści Szyszkin bierze w tej ekspedycji czynny udział jako młody oficer – i już do swej ukochanej nie wraca. Ona zaś kończy studia medyczne, staje się lekarką z prawdziwego powołania, układa sobie życie zgodnie z obyczajami panującymi w jej środowisku społecznym i towarzyskim. Patrzy na nie jednak i ocenia przez pryzmat swego pierwszego uniesienia miłosnego, któremu dochowuje najgłębszej uczuciowej wierności; obiekt tych uczuć odwzajemnia je, ratując się nimi przed obezwładniającym jego fizyczną odporność horrorem wojennej rzeczywistości.

Psychologiczna materia tej powieści nie jest szczególnie odkrywczą, choć wgląd w doświadczenia życiowe i uczuciowe nieusatisfakcjonowania bohaterki uzyskujemy – dzięki znakomicie uintymnionemu ich zapisowi listownemu – wzruszająco szczerzy; natomiast obserwacje frontowe jej oblubieńca, mimo ich dość egzotycznego usytuowania, nie wyróżniają się szczególną barwnością. Ale główne pytania, jakie się rodzą w czytelniku po lekturze powieści Szyszkin, wychodzą poza ramy fabularne i psychologiczno-obyczajową warstwę tej powieści.

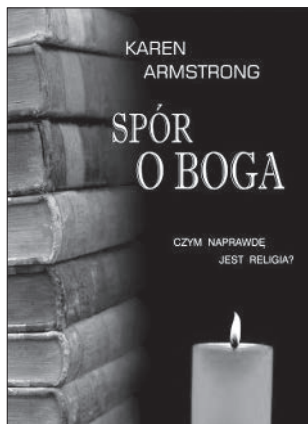
Rzecz w tym, że udział Rosji w tłumieniu buntu chińskich kulisów nie był ani pierwszą ani ostatnią w dziejach oręża rosyjskiego eskapadą w głąb innych krain, prowadzoną przez ten kraj, jakby niezależnie od zachodzących w nim, niekiedy imponująco dramatycznych i radykalnych przemian ustrojowych. Po podejmującym tę tematykę utworze autorstwa współczesnego pisarza rosyjskiego czytelnik oczekuje jakichś oznak (oczywiście przetrawionych artystycznie i bynajmniej nie deklaracyjnych) uświadamiania sobie skojarzeń, jakie ta problematyka nasuwa. Może nam nie wystarczać ogólne potwierdzenie nie dość rewelacyjnej przecież prawdy, że wojna przekreśla wiele otwierających się przed ludźmi perspektyw życiowych, niekiedy u samego ich zarodka.

Michaił Szyszkin: *Nie dochodzą tylko listy nienapisane*, przeł. Magdalena Hornung, Noir sur Blanc, Warszawa 2013.

WŚRÓD KSIĄŻEK

Karen ARMSTRONG

Spór o Boga (czy naprawdę jest religia?),
Warszawskie Wyd. VIK, Warszawa 2011,
ss. 408, z języka angielskiego tłumaczyła
Barbara Cendrowska.



Rozmowy o Bogu i religii

Znana i kontrowersyjna publicystyka, badaczka i propagatorka różnych tradycji sakralno-religijnych jaką jest Karen Armstrong przedsta-

wia w tej książce swoje poglądy nie tyle na temat istoty Boga – jakby sugerował tytuł – ile nad dylematem czym jest religia w ogóle. Są to rozważania będące kontynuacją jej wcześniejszych książek, że wymienił głośno *W imię Boga* czy *Historia Boga*). Armstrong uważa się za jedną z największych autorytetów w dziedzinie religioznawstwa. Jej warsztat pisarski charakteryzuje przede wszystkim niezwykle dyscyplina i bogactwo treści (często zaczerpniętych z różnych źródeł), ale także humanistyczne spojrzenie na problematykę religii jako zjawiska ważnego (i kreatywnego) dla człowieka. To właśnie spojrzenie i narracja dialogowa przynosi jej w epoce dramatycznych napięć o podłożu religijnym uznanie i szacunek.

Armstrong stwierdza, że o Bogu mówi się dziś bardzo wiele, ale powierzchownie, w sposób beztreściowy, nijaki. Przeważnie w kontekście kulturowo-politycznym, rzadziej – ekonomicznym. A na pewno w aspekcie doraźnych, instytucjonalnych korzyści dla wspólnot reprezentujących odpowiednie denominacje. Pisze we wstępie książki rzecz niezwykle kontrowersyjną, zwłaszcza w kontekście klimatu polskich dyskusji na tematy

związane najszerzej z zagadnieniami religijno-kulturowymi: „*Wszyscy się dziwią, gdy im mówię, że nie można nazywać Boga Najwyższym Bytem bo wcale nie jest bytem i tak naprawdę nie bardzo wiemy, co mamy na myśli, kiedy mówimy Bóg jest dobry, mądry czy roztropny*”. Ta myśl jest bliska idei, wypowiedzianej przez niezwykle popularnego w końcu XX wieku w środowiskach katolików otwartych, zdecydowanych zwolenników Vaticanum II, jezuitę Anthony de Mello, a brzmiącej: „*O Bogu mówi się milcząc*”.

Autorka za naczelną zasadę wszystkich religii (przede wszystkich tych światowych i monoteistycznych zarazem), jako wytworów człowieka, jako społecznego fenomenu (trwałego – jak do tej pory – w dziejach naszego gatunku i towarzyszącemu *homo sapiens* od zarania jego historii) uznaje tzw. złotą zasadę. Złota zasada jest, zdaniem Armstrong, uniwersalnym przesłaniem obecnym we wszystkich wyznaniach, zwłaszcza w monoteistycznych wywodzących się z regionu Bliskiego Wschodu (czyli z obszaru o jednolitych tradycjach kulturowo-cywilizacyjnych): judaizm, chrześcijaństwo i islam mają wbrew temu co dziś się obserwuje (i co prześledzić możemy w historii) bardzo, bardzo wiele wspólnego. Złotą zasadę najlepiej oddaje przypowieść talmudyczna o znanym rabinie Hillelu (80 r.p.n.e – 30 r.n.e.), propagatorze wiary mojżeszowej jako zdecydowanego prymatu Ducha nad Literą, który w kontakcie z poganinem pytającym go o esencję Tory (efektem miałyby być nawrócenie tego poganina na judaizm) miał odpowiedzieć: „*Nie czyń drugiemu co tobie nie miłe. Oto cała Torą, reszta to komentarz. Naucz się tego dobrze*”.

W końcowej części książki Autorka zwraca uwagę na problem religijności w Europie Zachodniej. W II połowie XX wieku nastąpił bowiem dramatyczny, ilościowy i jakościowy, spadek religijności i uczestnictwa ludności Starego Kontynentu w obrzędowości sakralnej. Wszystkie denominacje chrześcijańskie uważające siebie za źródło kultury europejskiej doświadczyły spadku zaufania, znaczenia i tego co było ich do tej pory koronnym znaczeniem w życiu społeczeństw: przestały wpływać na społeczne preferencje ludzi, przestały odpowiadać na pytania czym jest życie, co jest w nim ważne, jakie wartości dla Europejczyków mają kluczowe znaczenie, po co się żyje, czym jest w codziennej egzystencji

sacrum? Laicyzacja, sekularyzacja, desakralizacja mogły – i były – podstawą teorii „śmierci Boga”. Sądono – na co zwraca uwagę Autorka (pokazując plastycznie jak przebiegały owe procesy) – iż ów proces rozszerzy się na cały świat. Jednak były to tylko pobożne życzenia. Zresztą na ów problem zwracał wielokrotnie uwagę znakomity polski znawca tematyki religioznawczej Michał Horoszewicz, twierdzący, iż sekularyzm i laicyzacja Europy (przede wszystkim Zachodniej) to ewenement na światowej mapie religijności. To raczej europejski – czy szerzej ujmując: zachodni – ateizm, agnostycyzm, sekularyzacja życia codziennego, zanik znaczenia tradycyjnie pojmowanego sacrum w codziennym życiu winien być badany jako element niekompatybilny z uniwersalną strukturą jaką jawi się dziś *homo religiosus*.

Dziś, jako to opisuje Karen Armstrong, przez świat przetacza się fala fundamentalizmu religijnego. Fanatyzm, fundamentalizm, ostre namietności religijnej proveniencji, są w cenie. I nie tylko – jak prezentują to media – są właściwością islamu. Zabójstwa Palestyńczyków na okupowanych przez Izrael terenach arabskich dokonywane przez ortodoksyjnych wyznawców judaizmu, mają taki sam wydźwięk moralny jak bomby detonowane przez szahidów w miastach Izraela, Iraku, Afganistanu lub na przedpolach Kaukazu. Religia jest tu, niestety, genezą, źródłem, przyczyną tych nienawiści i uzasadnieniem takich (a nie innych) zachowań – indywidualnych i zbiorowych. Ortodoksja, purytanizm, fanatyzm nakładają istotny kaganiec na wizerunek Boga funkcjonujący w głowach osób o skłonnościach – jakby rzekł Erich Fromm – autorytarnych. A stąd bardzo blisko do fundamentalizmu.

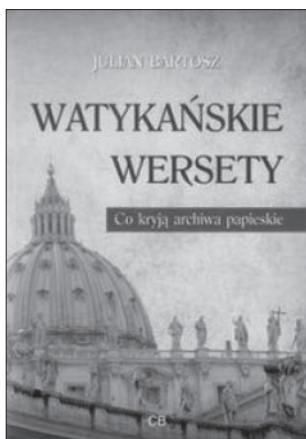
Autorka konkluduje: „Większość chrześcijańskich fundamentalistów jest przekonanych, że Żydzi i muzułmanie pójdą do piekła, a buddyzm, hinduizm i taoizm powstały z podszeptu diabła. Żydowscy i muzułmańscy fundamentaliści zajmują podobne stanowisko – i jedni i drudzy jedynie własną tradycję uważają za prawdziwą wiarę”. Jakie to dalekie od sentencji cytowanego wcześniej rabina Hillela. Wszystko, zwłaszcza w sprawach wiary religijnej (tak subiektywnego i niedookreślonego zjawiska) jest, powinno być, tylko komentarzem. A potem – interpretacją.

Kolejna książka Karen Armstrong jest frapującą i niezwykle zajmującą podróżą intelektualną przez dzieje ludzkiego postrzegania Boga. A tym samym wkroczeniem w historię ludzkiej kultury. Książka pokazuje ewolucję pojęcia Boga na przestrzeni dziejów naszego gatunku, a te zmiany odzwierciedlają uwarunkowania kulturowo-cywilizacyjne w jakich przyszło ludziom, w danym momencie historycznym i politycznym, żyć. Warto odbyć podróż tę podróż z książką Karen Armstrong.

Radosław S. CZARNECKI

Julian BARTOSZ _____

Watykańskie wersety. Co kryją archiwa papieskie, Agencja Wydawnicza CB, Warszawa 2012, s. 126+ 4 nlb.



Wersety archiwalne i współczesne

Zdawać by się mogło, że wiemy o tych czasach i sprawach, opowiadanych w tej książce już wiele, że wiemy o papieżach minionego wieku i ich encyklikach, nawet już i o papieżu Franciszku; o układzie laterańskim i jego następstwach; o *Namiestniku* Rolfa Hochhuta czy o konkordatach oraz ich znaczeniu, a jednak kolejna publikacja Juliana Bartosza, znanego publicysty i niemcoznawcy, goszczącego także na łamach naszego czasopisma, przekonuje, że warto wiedzieć o tym wszystkim jeszcze więcej, że warto choćby odświeżyć swoją pamięć i wiedzę.

Warto tym bardziej, że w tyle popularnej co uporządkowanej postaci, powracamy do nieodległych dramatycznych dla Europy i Polski lat po traktacie wersalskim, po porozumieniu zwycięskich mocarstw, które miało na długie lata przynieść światu pokój i ład. Republika weimarska, zrodzona z tych porozumień, okazała się jednak niezdolna do sprostania oczekiwaniom społecznym i jeszcze bardziej niezdolna do jej obrony swoich demokratycznych wartości przed „parweniuszem urodzonym w Braunau nad Inn w «skażonej żydostwem» rodzinie cesarskiego wach-

ministra”. Otóż przez tego „parweniusza”, wodza NSDAP, „legalne” przejście w 1933 r. władzy w Rzeszy, jego program i zbrodnicze działania, poprzedzone wcześniejszym zwycięstwem wyborczym, w sposób zasadniczy odmieniło całą ówczesną rzeczywistość europejską, stało się wielkim dla niej wyzwaniem. Także dla Watykanu jako suwerennego państwa, a zarazem Stolicy Apostolskiej, najwyższego zwierzchnictwa Kościoła rzymskokatolickiego.

Autor sięgając do dwóch źródłowych ksiązek, znanej w Polsce Pierra Bleta SJ *Pius XII i druga wojna światowa w tajnych archiwach watykańskich* oraz książki nie wydanej po polsku Petera Godmana *Der Vatikan und Hitler. Die geheimen Archive*, i oczywiście do wielu innych publikacji, a także do zasobów archiwalnych kard. Adolfa Bertrama, ówczesnego metropolity wschodnioniemieckiej prowincji kościelnej z siedzibą w obecnym Wrocławiu, które już badał, poszukuje odpowiedzi na pytanie, wcześniej też zadawane przez wielu innych przed nim autorów, pytanie o milczenie papieża Piusa XII wobec wołania, jak Edyty Stein, i wielu innych, i wobec niepodważalnych faktów o skali eksterminacji Żydów i innych narodów okupowanych przez nazistów. Owszem, były różne w tej kwestii wypowiedzi papieskie, lecz zawsze tak formułowane, aby nie wynikało z nich jednoznaczne potępienie zbrodni. Autor przytacza różne opinie wielu badaczy świeckich i związanych z Kościołem na temat przyczyn papieskiego milczenia, w których dominuje przekonanie, że było ono dyktowane obawą, czy takie potępienie nie wywołałoby jeszcze większego nasilenia działań eksterminacyjnych nazistów oraz represji wobec samego Kościoła.

Milczenie Kościoła w obliczu zbrodni nazistowskich wobec ludności żydowskiej nie wyczerpuje innych, niemniej istotnych wątków tej książki. Dwa z nich zasługują na szczególną uwagę: to stosunek papieża i hierarchów katolickich wobec władzy nazistów i rozpetanej przez nich II wojny światowej.

Uderzają najpierw zdumiewająco pośpieszne działania Watykanu związane z zawarciem konkordatu z nazistowską władzą: 20 lipca 1933 r., zważywszy, że już w szóstym miesiącu po przejściu władzy przez Hitlera konkordat został w Berlinie podpisany. Można powiedzieć: Watykan nie wahał się zawrzeć swoistego „układu z diabłem”. Ale każda ze stron tego „diabelskiego” układu miała swój niebagatelny interes: hitlerowskie Niemcy legitymizowały w ten sposób swoje miejsce na scenie europejskiej, Watykan i Stolica Apostolska zabezpieczały swoje istnienie i stan posiadania w państwie budzącym wiele obaw. Autor starannie wyważa te racje i zachęca do ich zrozumienia nawet wtedy, kiedy przytacza na kolejnych kartach książki fakty i dane wskazujące na brutalne łamanie ustaleń konkordatowych przez nazistowskie władze. Watykan płacił nazistom w tym okresie wysoką cenę, bo ponad nią dominowała wspólnota myślenia stron umowy na temat komunizmu: ich obopólna do stalinowskiej Rosji głęboka nienawiść, ale i obopólny przed nią strach

Kiedy się dziś czyta, przypomniane w książce, słowa najwyższych dostojników Kościoła usprawiedliwiający w istocie rozpetanie przez Hitlera II wojny światowej, kiedy się czyta o wielkim dramacie tej wojny a zarazem czyta niemieckich biskupów i ich jednogłośnie przyjętą rotę modlitwy w intencji „naszej ojczyzny i jej wodza”, czy intonowane *Te Deum* na chwałę „budowniczego wielkości państwa i narodu” to w istocie brakuje słów, aby to zło uczynione Europie i Polsce opisać w wymiarach właściwych dla apokaliptycznych rozmiarów tego zła.

Jest w tym piekle szczególne zło, jakie nazizm sprawił Polsce. Przypomnijmy za wspomnianym o Bletem i autorem książki jedynie dane o ofiarach wojny spośród duchownych Kościoła katolickiego: otóż skazano na śmierć 4 biskupów, 1996 księży, 216 sióstr zakonnych, a w obozach koncentracyjnych umieszczono 3642 księży, nie licząc kleryków i sióstr zakonnych. A Kościół, widziany przez wielu jako „mocarstwo światowe”, okazał swoją bezsilność nawet wobec jemu zadawanych ciężkich ran..

Ale oto, w ślad za Julianem Bartoszem, zamykamy ten straszny realny czas Apokalipsy, aby przypomnieć sobie teraz to, co na temat zła właśnie jako „ideologii” mówił po latach Jan Paweł II, polski papież, w swojej książce, wydanej w roku Jego śmierci. Uznał, że to zło jest u swych najgłębszych źródeł owocem Oświecenia, owego kartezjańskiego *Cogito ergo sum*, mającego zanegować Boga jako bytu najwyższego. Nie komentujemy na tym miejscu tej zaskakującej interpretacji dziedzictwa Oświecenia. W ten sposób czas miniony zapisany w archiwach papieskich, wciąż kryjących wiele tajemnic, odsłania się nowymi wersetami, tworzonymi już teraz przez współczesny czas. Kolejne rozdziały tej opowieści to świat pon-

tyfikatów Benedykta XVI i papieża „z końca świata”, Franciszka, przybyłego do Stolicy Piotrowej, mówiąc słowami J. Bartosza „w czarnych butach na piechotę z paczką miłosierdzia”. Ta część książki przenosi nas w nowe klimaty, budząc szczerą w nadzieję na zmiany jakże oczekiwane w Kościele powszechnym, a zwłaszcza polskim. Dodajmy nawiasem, że jedna z części końcowych książki, właśnie o papieżu Franciszku, miał szczęście, z woli autora, ujrzeć najpierw światło dzienne na skromnych łamach naszego czasopisma.

Jak każde przedsięwzięcie podejmujące kwestie trudne, wciąż obecne w pamięci wielu i wciąż gorące, tak opowieść Juliana Bartosza, nie jest wolna od wielu pytań i kwestii, które można było ująć nieco inaczej, czy może spojrzeć na nie przez pryzmat nie tylko źródeł czy literatury niemieckojęzycznej. W końcu jednak taka literatura istnieje i jest dostępna dla każdego zainteresowanego pogłębieniem problematyki *Watykańskich wersetów*, książki mającej cechy dobrej publicystki historyczno-politycznej, świetnie pomyślanej marketingowo, lecz z umiarem i kulturą daleką od tego, aby te wersety, odmiennie niż u Salmana Rushdiego, nazwać „szatańskimi”.

Andrzej BIERNACKI

W CZASOPISMACH

W czasopiśmie drukowanych, coraz więcej z nich także dostępnych w sieci elektronicznej, dwie sprawy dominowały od początku roku: to wydarzenia na kijowskim „czuwającym” Majdanie oraz zimowe igrzyska olimpijskie w Soczi. Dwa wydarzenia, z których jedno, u wschodnich granic Polski. Nie możemy od nich uciec nie wspominając o uczuciu dojmującej goryczy powstałej z odbioru treści medialnych obu tych wydarzeń. Jej źródłem, jest w obu przypadkach, rola w nich dziennikarzy: coraz bardziej jednostronnie, mówiąc jak najdelikatniej, jeśli nie stronniczo, często historycznie (jak przekazy np. Marii Stepan z Majdanu) ukazujących te wydarzenia, bez refleksji, na sposób manichejski, emocjonalny, wybiórczy, zaprzeczający rzeczywistym realiom i prawdzie. Jeśli tak czynią niektórzy autorzy z łamów „Gazety Wyborczej” to zagryzamy język i czytamy inne ciekawsze teksty w tej gazecie, ale jeśli czyni to Piotr Kraško wraz z zespołem Wiadomości w TVP I – to sprawa jest co najmniej poważna, jeśli nie jest po prostu skandaliczna. Nie miejsce tu na tłumaczenie naszych odczuć, bo być może są tak głęboko przekonani o swoich racjach, że głos inny niż ich mogą uznać za wrogi. Tak jest, bo w ich wyobraźni świat składa się wyłącznie z aniołów i diabłów, męczenników i ich oprawców. To horyzont ich świata i ich wizja, którą karmią miliony odbiorców swoich medialnych przekazów.

Dlatego opuścimy tym szybciej ten manichejski świat mediów masowych i zatrzymamy na tekstach poważniejszych, które ważą raczej nie stroniąc od preferencji racji własnych. Oto przed nami rocznik Kasy im. Józefa Mianowskiego Fundacji Popierania Nauki zatytułowany NAUKA POLSKA (Jej potrzeby, organizacja i rozwój), rocznik XXII (XLVII) 2013 r., a w nim m.in. teksty wybitnych polskich uczonych – Joanny SCHILLER-WALICKIEJ i Andrzeja WALICKIEGO. Oba teksty dotyczą sytuacji naszej humanistyki, której stan, potrzeby i zagrożenia przedostały się ostatnio do szerokiej opinii publicznej i stały przedmiotem uwagi nowej minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

Jakie to problemy? To najpierw ciężka choroba, która dotknęła humanistykę, za sprawą ludzkiej bezmyślności, to jej parametryzacja zrodzona z myślenia biurokratycznego oraz kwestia jej oparcia na „systemie grantowym” i na „kryterium międzynarodowej <cytowalności>”. W studium J. Schiller-Walickiej zapoznajemy się z wnikliwą rekonstrukcją mechanizmów, pomysłów, zabiegów i działań, także legislacyjnych, które doprowadziły polską humanistykę na krawędź nieszczęścia. Nie sposób na tym miejscu wnikać w tę rekonstrukcję, toteż pozostaje przytoczyć jedynie jej konkluzję: „Realia codziennego życia

NAUKA POLSKA
JEJ POTRZEBY, ORGANIZACJA I ROZWÓJ

XXII(XLVII)

ROZNIK KASY im. JOZEF MIANOWSKIEGO
FUNDACJI POPIERANIA NAUKI
2013

naukowego pokazują, że, nie przecząc samej idei reformy nauki i szkolnictwa wyższego, stworzony obecnie system jest nieekonomiczny (jeśli przyjąć neoliberalne założenie, że marketyzacja jest wszystkim), przeciwnie skuteczny, demotywujący, demoralizujący, oparty na hipokryzji i wzmagający ją, wytworzony sztucznie bez liczenia się z ludzką psychologią, możliwościami i potrzebami, za to nie likwidujący prawdziwych bolączek”. Konieczne są więc istotne zmiany w tej mierze, wspierające naukowców a nie zabierające im czas i nerwy, i jest czas, aby „odchodzić od narastającego lawinowo systemu nakazowo-rozdzielczego, z jego przerostem biurokracji i całkowitym brakiem zaufania do środowiska naukowego” (s. 64–65).

Z kolei Andrzej Walicki dokonuje niemniej wnikliwej analizy tzw. cytawalności na łamach renomowanych czasopism międzynarodowych (najlepiej – anglojęzycznych z tzw. Listy Filadelfijskiej) „jako kryterium oceny wartości indywidualnych uczonych i reprezentowanych przez nich uczelni” niezwykle groźniej z punktu widzenia „fundamentalnego problemu mechanizmów selekcji kulturowej, niesprzyjającej niestety zauważaniu i przyswajaniu przez naukę światową polskiego dziedzictwa kulturalnego i osiągnięć najszerzej rozumianej humanistyki polskiej (s. 67). I dalej: „Reformy firmowane przez minister Kudycką, łączące neoliberalną ideę <urynkowania nauki> z uprawomocnieniem drobiazgowego biurokratycznego nadzoru nad środowiskiem naukowym, są oczywiście zaprzeczeniem tej tradycji (liberalnego humanizmu Wilhelma von Humboldta – przyp. KSP) i nie zasługują na kojarzenie ich z <wizją liberalną>” (s. 78–79).

I pozostaje nam jeszcze skierować uwagę na inne czasopismo, godne uwagi: FORUM



MYŚLI WOLNEJ, krakowski kwartalnik racjonalistów. Numer 59. na czas zimy, która przecież jeszcze kalendarzowo nie minęła, choć u końca lutego, dni raczej zdecydowanie już wiosenne, warto z uwagą czytać. Czytamy oto króciutki tekst dr Józefa KABAJA, filozofa, etyka, jednego z niewielu znawców łaciny i taką oto jego odpowiedź na postawione pytanie: „Dokąd zmierza ruch laicki?”. „Wielu zapomniało, a jeszcze więcej nie wie i ulega propagandzie, że jesteśmy poplecznikami diabła, po imieniu Szatana, który z jego woli zmierzają do unicestwienia Dobrej Nowiny o moralnym odrodzeniu ludzkości za sprawą proroka i mesjasza Jezusa z Nazaretu. My tymczasem propagujemy kulturę świecką, to znaczy przedreligijną i pozareligijną. Przywracamy jej wartość ponadczasową i uniwersalną ... staramy się propagować humanizm oraz kulturę życia, radości, dobroci i wzajemnego szacunku, tolerancji, racjonalizmu i spolegliwość”.

Czyż to nie oby wartości, które by chętnie zaprobował Jezus, gdyby mógł ponownie zmartwychwstać?

Wybór i oprac. Ksawery S. PIWOCKI

Rys. Marek Chaczyk



KRONIKA

Przed XII Zjazdem Krajowym TKŚ

Pod przewodnictwem prezesa prof. Jerzego J. WIATRA obradowało 26 lutego 2014 r. Prezydium Rady Krajowej Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego.

Zebrani omówi problemy programowe, organizacyjne i personalne związane z XII Krajowym Zjazdem Towarzystwa, który odbędzie się w Warszawie 24 maja 2014 r. i zgodnie ze statutem dokona bilansu i oceny czteroletniej działalności Towarzystwa (2010–2014), określili kierunki działania na nową kadencję oraz dokona wyboru władz krajowych Towarzystwa.

W chwili obecnej trwają spotkania członków Towarzystwa w różnych ośrodkach działania ruchu w kraju, podczas których wybierani są delegaci na Zjazd Krajowy Towarzystwa.

Prezydium wyraziło przekonanie, że XII Zjazd Krajowy TKŚ stanie się kolejnym, ważnym krokiem w utrwalaniu dotychczasowego, ponad stuletniego, dorobku ruchu i określi nowe kierunki działania odpowiadające wymogom czasów współczesnych.

Nagrody Kryształowego Świecznika

W Warszawie 27 lutego 2014 r. odbyło się uroczyste spotkanie, podczas którego wręczone zostały, już po raz drugi, doroczne Nagrody Kryształowego Świecznika, ufundowane z inicjatywy i pod patronatem wicemarszałek Sejmu RP Wandy NOWICKIEJ, osobom oraz organizacjom społecznym, które w „ostatnim roku podjęły szczególnie ważne inicjatywy na rzecz budowy świeckiego państwa i pełnej realizacji konstytucyjnej zasady jego rozdziału od Kościoła”.

W tegorocznej edycji Nagrody jej Kapituła w składzie: wicemarszałek Wanda Nowicka oraz poseł Robert Biedroń, prof. Jan Hartman, dr Bożena Keff, prof. Stanisław Obirek i prof. Magdalena Środa przyznała je:

- prof. Ewie ŁĘTOWSKIEJ za mądrość i odwagę w obronie praw człowieka i jego godności oraz konsekwentne upowszechnianie konstytucyjnej zasady autonomii państwa i Kościoła, świeckości demokratycznego państwa prawa;

- pani mgr Małgorzacie MARENIN, nauczycielce z województwa Świętokrzyskiego, prezes Stowarzyszenia Stop Stereotypom, za wiele cennych inicjatyw, w tym za pozwanie do sądu abp Józefa Michalika w związku z jego niestosowną wypowiedzią na temat stosunku Kościoła i duchownych do pedofilii;

- insp. Karolowi SZWALBE, komendantowi policji miasta Radomia, za odwagę w obronie konstytucyjnej zasady neutralności światopoglądowej państwa, w tym za jego głośną decyzję w sprawie obecności krzyży w pomieszczeniach służbowych podległej mu komendy;

- redakcji kwartalnika BEZ DOGMATU, za intelektualną refleksję na tematy ideowe, światopoglądowe i moralne oświatlane z punktu widzenia myśli racjonalistycznej i świeckiej.

Kapituła Fundacji, uwzględniając wskazania i opinie internautów wyrażone w procedurze nominacyjnej, i podzielając je, przyznała Kryształowy Świecznik Jackowi TABISZOWI, prezesowi Polskiego Stowarzyszenia Racjonalistów za znaczące osiągnięcia ruchu i jego osobiste na rzecz świeckiego demokratycznego państwa prawa.

Zostały także przyznane dwa wyróżnienia.

W wygłoszonych laudacjach oraz wystąpieniu końcowym wicemarszałek Wandy Nowickiej wyrażono głęboki szacunek wszystkim osobom wyróżnionym za ich odważny trud powiększający w naszym kraju przestrzeń wolności światopoglądowej i prawa do własnego sumienia, do uniwersalnych wartości humanistycznych, do świeckiego demokratycznego państwa prawa.

A.B.

Jacek SYSKI

MAREK CHACZYK I KRESKA METAFIZYCZNA?

Pisałem już kiedyś o tym twórcy. – Celowo używam tego słowa, bo Chaczyk nie jest w istocie „ilustratorem”, jak niekiedy się go nazywa. Oczywiście, rysunki jego mogą być traktowane jako „ilustracje” ale tylko w umownym znaczeniu. M. Chaczyk nie „ilustrował” i nie „ilustruje” w tradycyjnym rozumieniu tego słowa. Tworzy rysunki lub grafiki sam dla siebie i przynosi je z propozycją wykorzystania, czy to w książce, czy (najczęściej) w czasopiśmie. Inkorporowane do tekstów wyznaczają w nich własne wektory znaczeń, i to wszystko. M. Chaczyk publikował swoje prace w bardzo wielu czasopismach literackich, artystycznych i naukowych w kraju i za granicą. Brał udział w kilkudziesięciu wystawach. Zapraszany jest regularnie na Biennale Plakatu... W pewnym sensie stał się już „instytucją” w świecie rysunku.

Wspominam o tym z uznaniem i satysfakcją, bo przed laty miałem przyjemność „odkryć” go i przyczynić się trochę do upowszechnienia jego grafik i rysunków drukując je, powiedzmy, systematycznie – w „Literaturze”, co otworzyło mu w jakimś sensie drogę do innych tytułów prasowych w kraju i na świecie. To – że znalazł tam uznanie było oczywiście i jest powodowane wartością jego prac, ale to u nas stawił pierwsze kroki, które miały go zaprowadzić na szczyty...

– Pamiętam to nasze spotkanie sprzed kilkudziesięciu lat, gdy wówczas młody i jeszcze nikomu nieznaną osobą przyszedł do naszej redakcji i położył mi na biurku kilkanaście swoich prac. „Nie miał” jeszcze nazwiska, te zdobył później, ale wkrótce, właśnie u nas. Jego rysunki mówiły same za siebie. Jego kreska jest tak indywidualna, że odróżnisz ją od wszystkich innych. Są wśród jego rysunków

Dokończenie na IV s. okładki



Rys. Marek Chaczyk

Jacek SYSKI

MAREK CHACZYK I KRESKA METAFIZYCZNA?

Dokończenie z III s. okładki

takie, które mają wymiar nie tyle estetyczny, ile – powiedziałbym – egzystencjalny odślaniając napięcia i sytuacje kondycji ludzkiej zakryte dla potocznego spojrzenia.

Przeglądałam rysunki, które M. Chaczyk zostawił mi niegdyś w redakcji i muszę powiedzieć, że nadal są jak żywe. – Nie, nie są „nadal jak żywe”. One po prostu nadal są żywe, nie dotknięte zębem czasu. Nie starzeją się, nie zużywają, nie nudzą. Przeciwnie. Mają tę samą siłę wewnętrzną, to samo napięcie jak wówczas, gdy widziało się je po raz pierwszy. Dlatego sądzę, że ich autora można bez żadnej przesady nazywać mistrzem. A może nawet Mistrzem (z dużej litery)?

– Ktoś pomyśli, że żartuję?

– Nie, nie żartuję.

– Tak, Chaczyk jest mistrzem. Wydaje się to komuś zabawne lub niemożliwe? On, ten człowiek bezpretensjonalny, skromny, otwarty (– ale czy na pewno i do końca?), nie rzucający się w oczy, ciągle młody mimo upływającego czasu? Nie roszczący sobie do niczego pretensji... jak człowiek z innego kraju albo z innej planety?

– No właśnie, tak to już z nim jest. I: obecny – nieobecny...

* * *

Ale jego rysunki zostają. Nie starzeją się, jak już wspomniałem. Żyją, ożywają w niezwykłej kresce, która, powiedziałbym, ma nie tyle i nie tylko artystyczny, ale antropologiczny czy nawet egzystencjalny charakter. Czujemy to, widzimy jej (kreski) prerażenie, ból, rozpacz, czy przeciwnie, wściekłość lub nienawiść. To nie są maski, jak pisali niektórzy krytycy, lecz przeciwnie, to właśnie wnętrza, ukryte czy ukrywane wcześniej (na co dzień, potocznie) – odślaniane teraz przez Chaczyka w swoistej psychoanalizie psychograficznej.

– Patrzcie, jacy jesteście, jacy jesteśmy w środku, pod maską, zdaje się mówić autor swymi rysunkami.

Maską jest uśmiech lub przejrzystość, pełna przejrzystość twarzy lub zarysu, konturu postaci zaznaczonych kreską w której nic nie widzimy bo jest tam jedynie biel, szarość lub czerni tła, które kryje nie – wiadomo – co...

A raczej – wiadomo.

– Co mianowicie? To, przed czym uciekamy lub co skrywamy sami przed sobą, w swym głębokim wnętrzu, w świadomości lub podświadomości. A więc wściekłość, gwałt i przemoc lub ich opozycja: ból, lęk i prerażenie, zależnie od sytuacji i miejsca, w świecie w jakim się znajdujemy.

Wiele pisano i dobrze o cyklu „Opium” M. Chaczyka inspirowanym jakby przez wyznania Cocteau. Sądzę jednak, że ta „inspiracja” dla naszego artysty to raczej pretekst lub okazja do wydobycia i poszerzenia własnych zainteresowań oraz koncepcji losu człowieka. Cocteau opisywał m.in. stan deliryczny po zażyciu narkotyku. Dla świata rysunków Chaczyka deliryczność to po prostu graniczne doświadczenie istnienia; to nasze wnętrza ofiary lub kata w ich wzajemnym uścisku, odarte z maski: przezroczyściego spokoju postaci – maski, a więc kreski na białym tle z którego nic nie widać.

Tak sądzę, że to właśnie jest ukryte memento tej twórczości, którą Marek Chaczyk nam przedstawia, nie tylko do patrzenia ale i do myślenia. To ukryte przesłanie jego twórczości, nie estetyczne, lecz egzystencjalne. Amoże nawet filozoficzna intuicja ludzkiego losu, którą cierpliwie i z uporem przywołuje artysta w swoich rysunkach?

Jacek Syski, historyk filozofii, red. „Argumentów”, „Współczesności”, „Literatury”.

